

Z nowego
świata

Spis treści

Rozdział 1	4
Rozdział 2	27
Rozdział 3	52
Rozdział 4	74
Rozdział 5	96
Rozdział 6	119

Autor przekładu z nieoficjalnego tłumaczenia angielskiego na język polski: Jovex
Korekta: Eqeminiv

Wszelkie prawa autorskie do powieści 新世界より (Z Nowego Świata) należą do Yusuke Kishi.

Ten dokument jest fanowskim tłumaczeniem, nieautoryzowanym przez posiadacza praw autorskich.

Autor tłumaczenia nie rości sobie jakichkolwiek praw do treści powieści.

Autor przekładu nie wyraża zgody na umieszczanie tego tłumaczenia na stronach innych niż znowegoswiatapl.wordpress.com, helheim.pl oraz centrum-mangi.pl

W razie pojawienia się tłumaczenia oficjalnego dokument ten zostanie natychmiastowo usunięty z Sieci.

Część IV: Odległy zimowy grzmot

Rozdział 1

Wokół mnie powstało małe zamieszanie. Skrzypienie przesuwanych krzeseł. Rytm kroków na drewnianej podłodze. Gwar kręcących się po sali uczniów. Gwizd pary wydobywającej się ze stojącego na środku klasy czajnika.

Głosy o dziwnym akcencie. Donośny śmiech. Dźwięk przytłumionej, jakby słyszanej spod wody rozmowy. Cichy szept nieznanej mi osoby.

Wszyscy chcieli, by ich rozmówcy słyszeli to, co mówią, jednak przez to ich głosy zlały się w jeden bezsensowny szum, niosący się w powietrzu.

Gdyby wszystkie te osoby naraz wypowiedziały swoje myśli na głos, prawdopodobnie wyglądałoby to dokładnie tak samo. Każda pojedyncza myśl ma jakieś znaczenie, lecz gdy połączy się je ze sobą, tracą sens i stają się jedynie chaotycznym zlepkiem szumów. Tak, jak nasz wyciekający cantus.

Zatopiłam się w morzu niespójnych myśli. *Wyciek... Gdzie ja o tym słyszałam?*

O czym tak dumasz?

Takie właśnie zdanie pojawiło się nagle w moim zeszycie. W środku litery „O” narysowana była mrugająca twarz, natomiast „u” w słowie „dumasz” zmieniło się w uśmiechniętą buzię. Odwróciłam się i ujrzałam Marię wpatrującą się we mnie z wyraźną troską.

– Tak po prostu rozmyślałam o pewnej rzeczy.

– Niech zgadnę? Myślałaś o Ryou?

– O Ryou? – Zmarszczyłam brew.

Maria najwyraźniej źle zinterpretowała moją dezorientację.

– Nie musisz się z tym kryć. Martwisz się, czy cię wybierze, prawda? Nie martw się. Widać, że cię lubi.

Ryou Inaba. Radosny chłopak, którego znałam od dzieciństwa. Naturalny przywódca, którego zawsze wszyscy podziwiali. *Ale...* Poczułam nagle przyływ dziwnego zakłopotania. *Dlaczego on?*

– Przecież Ryou jest w grupie drugiej. Czemu miałby wybrać mnie?

– Co ty wygadujesz? – zdziwiła się Maria. – Przecież tak było tylko na samym początku, czyż nie? Odkąd dołączył do grupy pierwszej, zawsze trzyma się razem z nami.

Och, racja. Ryou został dołączony do grupy pierwszej jakiś czas po rozpoczęciu nauki w Akademii, ponieważ grupa druga miała sześcioro członków¹ a nas było tylko czworo.

Ale, przede wszystkim, dlaczego od początku było nas zbyt mało?

– Saki, wszystko z tobą w porządku? Trochę dziwnie się zachowujesz. – Maria położyła dłoń na moim czole, jakby chciała sprawdzić, czy nie mam gorączki. Po chwili szybko się przybliżyła i pocałowała mnie w usta.

– Przestań – powiedziałam, prędko się odwracając. Nikt na nas nie patrzył, ale i tak poczułam się zawstydzona.

– Widzisz? Już ci lepiej – odparła.

– Nie prosiłam cię o to.

– Miałaś nadzieję, że zrobi to ktoś inny, co nie?

– Wcale nie!

– Jesteście chyba nierozłączne. – Ryou pojawił się za plecami Marii.

Poczułam, że się rumienię. Pomyślałam, że Maria źle zinterpretuje również i to, co poskutkowało tylko tym, że stałam się jeszcze bardziej czerwona.

– Przeżywamy swoją miłość. Zazdrosny? – spytała Maria, tuląc mnie do piersi.

¹ Można zauważyć tu pewną nieścisłość, ponieważ biorąc pod uwagę wyeliminowanego wcześniej Manabu Katayamę, grupa druga powinna liczyć pięcioro, a nie sześcioro członków. Nie wiem jednak, czy jest to niedopatrzenie autora czy błąd tłumacza na język angielski.

- Mówiąc szczerze, trochę tak.
- O kogo?
- O was obydwie.
- Kłamczuch.

Krótko mówiąc, Ryou był mądry, zgrabny i powszechnie lubiany; nie dało się po prostu nie zauważać jego istnienia.

Z drugiej strony jednak nie należał on do ludzi, którzy zastanawiają się głęboko nad otaczającym ich światem. W żadnym wypadku nie można było o nim powiedzieć, że jest głupi, jednak jego odpowiedzi zawsze były bardzo powierzchowne. Poza tym nie wyróżniał się również żadnymi szczególnymi umiejętnościami w używaniu cantusu...

Ta myśl również sprawiła, że poczułam się nieswojo. Z kim ja go właściwie porównywałam?

– Saki, możemy chwilę porozmawiać zanim zaczną się lekcje?

– Och, w takim razie nie będę wam przeszkadzać – rzuciła Maria, wzlatując w powietrze i okręcając się wkoło, co sprawiło, że zatrzepotały za nią jej długie, rude włosy.

– Mamoru nigdy nie był zainteresowany nikim poza tobą, wiesz? – powiedział do niej Ryou. Był naprawdę przygaszony, kiedy wygrałaś wstępne głosowanie przytłaczającą większością głosów.

– Ciężko jest być tak popularną, nie uważacie? – zachichotała Maria po czym odleciała jak jakaś dziwaczna ważka. Ryou odwrócił się w moją stronę.

– Chodźmy gdzieś, gdzie jest ciszej.

– W porządku.

Nie miałam powodu by mu odmówić. Wyszłam za nim z klasy, jednak zatrzymałam się od razu gdy skręcił w lewo.

– Poczekaj, ja nie chcę tam iść.

– Dlaczego? – Wyglądał na trochę zbitego z tropu.

– Ja... Co właściwie chcesz tam robić?

Sama nie wiedziałam, dlaczego tak wzbraniałam się przed pójściem w tamtą stronę.

– Nikt nie będzie nas tam niepokoił. To tylko korytarz prowadzący na wewnętrzny dziedziniec.

No tak. Nie chciałam zbliżyć się do dziedzińca. Ale dlaczego wzdrygałam się na samą myśl o tym miejscu?

– A może wyjdziemy zamiast tego na zewnątrz? Pogoda jest dziś taka piękna.

– Ach, jasne.

Skręciliśmy w korytarz po prawej i wyszliśmy na szkolne boisko. Pogoda rzeczywiście była cudowna, lecz w powietrzu dało się wyczuć wyraźny chłód. Ryou skulił ramiona, chcąc się trochę ogrzać. Bez wątpienia pomyślał sobie, że jestem jakąś dziwaczką, która nie wie, że mamy zimę.

– Mam zamiar wybrać cię na swoją partnerkę do dyżurów – powiedział, przechodząc wprost do sedna.

– Dzięki. – Nie wiedziałam co powiedzieć, więc wybrałam najbezpieczniejszą odpowiedź.

– I to wszystko? – Ryou wydawał się zawiedzony.

– Co masz na myśli?

– Pytam, co ty zamierzasz zrobić. Nominujesz mnie? – naciskał.

– Ja...

Tej zimy, wszyscy uczniowie Akademii Mędrców mieli zostać podzieleni na pary dyżurnych. Teoretycznie powinny powstać tylko dwójki składające się z chłopca i dziewczyny, lecz z powodu nierównej liczebności obu płci niektórzy musieli dobrać się w trójki lub pary jednopłciowe.

Nasze obowiązki miały pozornie obejmować jedynie codzienne czynności i przygotowania do różnych festiwali, jednak z jakiegoś powodu para mogła powstać jedynie jeśli uczeń i uczennica wybrali się wzajemnie. Nie było więc to dla nas niczym innym jak jawnym wyznaniem miłości.

Nie dało się zaprzeczyć, że w tamtym czasie szkoła całkowicie kontrolowała nasze romantyczne relacje, co odzwierciedlał znak 番, określający pary dyżurnych. Najczęściej określało się w ten sposób

kolejkę na wykonywanie różnych obowiązków, jednak inne słownikowe definicje oznaczały też „parę”.¹ Biorąc pod uwagę to, jak wielką wagę do znaczenia słów przywiązywały Rada Edukacji i Komisja Etyki, wcale nie wydawało się to nadinterpretacją.

– Wybacz, ale jeszcze nie zdecydowałam.

Ponieważ Ryou był tak bezpośredni, ja również postanowiłam nie owijać w bawełnę.

– Ktoś jeszcze chodzi ci po głowie? – spytał zmartwiony.

– Uch, raczej nie...

Przez krótką chwilę pomyślałam o Satoru, ale szybko odrzuciłam ten pomysł. Był dobrym przyjacielem, ale nie czułam do niego niczego poważniejszego.

– Dlaczego wybrałeś mnie?

– Czy to nie oczywiste? – odparł pewnie Ryou. – Zawsze byłaś dla mnie tą jedyną.

– Zawsze? Czyli od kiedy?

– Od kiedy? Ciężko dokładnie określić coś takiego, nie sądzisz? Ale gdybym miał wskazać jakiś konkretny moment... – Na twarzy Ryou przez chwilę zagościł wyraz niezdecydowania – to byłby chyba czas który wspólnie spędzaliśmy podczas letniego obozu.

Przypomniałam sobie tą rozgwieżdżoną noc sprzed dwóch lat.

– Jakie jest twoje najlepsze wspomnienie z obozu?

– Chyba... Chyba cały obóz. Nasza wspólna wyprawa kajakiem. Och, pamiętasz jak oczarowana pięknym krajobrazem zapatrzyłaś się tak bardzo, że o mało co nie wpadłaś do rzeki? Złapałem cię w ostatniej chwili.

Skrzywiłam się. Czy coś takiego naprawdę miało miejsce? Podczas letniego obozu spotkało nas sporo niebezpieczeństw, lecz byliśmy wtedy rozdzieleni. Czy więc wyraźniejszego śladu w pamięci

¹ Tu: para oznaczająca związek, dwoje zakochanych. Notka od autora przekładu z oryginału na angielski: W zależności od kontekstu 番 oznaczać może różne rzeczy, np. 当番 może oznaczać zarówno kolejkę na zrobienie czegoś/spełnienie obowiązku jak i bycie w parze, w związku.

nie powinna zostawić pierwsza noc poza domem lub moment, kiedy wszyscy się odnaleźliśmy?

– A co z nocnym spływem?

– Nocny spływ? – zamyślił się. – A, tak, było zabawnie.

Zabawnie... Wspomnienie tamtej nocy było dla mnie niezwykle istotne i nie podobało mi się to, że opisał ją tak banalnym słowem.

Wracając do klasy minęliśmy Satoru. Patrzył w naszą stronę z dziwnym wyrazem twarzy, jednak to nie we mnie utkwiony był jego wzrok. Nie było to niczym dziwnym jeśli pamiętało się, że jeszcze niedawno chodził z Ryou.

Sposób w jaki się nam przyglądał spowodował, że dostałam gęsiej skórki. W jego wzroku nie dostrzegłam zazdrości ani zauroczenia, a jedynie czystą dezorientację. Wyglądał jakby zobaczył coś zupełnie nierzeczywistego.

Tej nocy śniłam długi, zagmatwany sen. Po przebudzeniu zapomniałam jego większą część, lecz ostatnia scena pozostała żywo wypalona w mojej pamięci.

To było ponure, puste miejsce. W dłoniach trzymałam bukiet kwiatów. Po chwili zorientowałam się, że stoję na wewnętrznym dziedzińcu szkoły, który był naszpikowany nagrobkami jak okiem sięgnąć. Nieważne jak bardzo wyteżałam wzrok, było zbyt ciemno, żeby odczytać wyryte na kamiennych płytach słowa.

Położyłam kwiaty na grobie stojącym bezpośrednio przede mną. Pomnik wyglądał na nowy, jednak był częściowo pograżony w ziemi, jakby się roztopiał, a kamień z którego był wykonany nosił już ślady wystawienia na kapryśną pogodę. Nie dało się przeczytać napisanego na nim nazwiska.

Kiedy tak stałam, poczułam, że ogarnia mnie silne poczucie osamotnienia; to było niczym dziura ziejąca mi w piersi.

– Tak szybko o mnie zapomniałaś?

Ktoś do mnie mówił. Głos chłopca. Był boleśnie znajomy, ale nie miałam pojęcia do kogo należy.

– Przepraszam. Po prostu nie potrafię sobie przypomnieć.

– Rozumiem... Wygląda na to, że nic nie poradzimy.

Odwróciłam się w stronę, z której dobiegał głos, lecz nikogo tam nie było.

– Gdzie jesteś? Pokaż mi swoją twarz.

– Ja nie mam twarzy – odparł cicho.

Te słowa przywiodły mi na myśl bezgraniczny smutek. No tak... On już nie miał żadnej twarzy.

– Ale ty powinnaś dobrze ją znać.

– Nie znam. Nie mogę sobie przypomnieć.

– To nie twoja wina – powiedział łagodnie. – Kiedy zostałem pogrzebany, wymazano również moje imię.

– Kto to zrobił? Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego?

– Rozejrzyj się. Oni wszyscy zostali wymazani.

Dostrzegłam dziwny nagrobek w kształcie domku z kart. Większa część pomnika się zawaliła, przez co nie dało się odczytać wyrytego nań imienia.

– Tu, i tam też.

W dalszej części dziedzińca stały w milczeniu kolejne groby. Na nich w ogóle nie było żadnych napisów a jedynie wyryte w kamieniu dyski. Uświadomiłam sobie, że są to lustra. Czy gdybym podeszła bliżej, ujrzałabym w nich swoją twarz. Zawahałam się.

– W porządku – usłyszałam dobiegający zza pleców głos chłopca bez twarzy. – Nie bój się. To nie jest twój grób.

– Do kogo więc należy?

– Przyjrzyj się uważnie, a zrozumiesz.

Spojrzałam w lustro. Załamane światło zatańczyło mi przed oczami. Uniosłam dłoń, żeby stłumić oślepiający blask, po czym powoli otworzyłam oczy.

Światło poranka dostało się do pokoju przez niezaciągniętą do końca zasłonę. Przeciągnęłam się, wstałam i poprawiłam kotarę.

Wschodzące słońce zabarwiło okienną szybę na jasnożółty kolor. Kilka wróbli balonowych skakało żwawo z drzewa na drzewo.

To był poranek jak każdy inny. Przetarłam oczy. Nawet we śnie wiedziałam, że płaczę.

Poszłam obmyć twarz, żeby moi rodzice się o tym nie dowiedzieli.

Zegar na ścianie wskazywał, że nie minęła jeszcze siódma.

Pomyślałam o wszystkich snach, jakie kiedykolwiek śniłam. Do kogo należał tamten głos? Dlaczego brzmiał tak znajomo? I czemu napęlił mnie tak wielkim smutkiem?

Nagle zdałam sobie sprawę, że widziałam już wcześniej tamto lustro ze snu. Tyle, że wtedy nie było to we śnie, a na jawie.

Serce zaczęło mi walić. Przypomniałam sobie, że miało to miejsce, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Ale gdzie? Biorąc pod uwagę mój ówczesny wiek, nie mogło być to zbyt daleko. Gdzieś w pobliżu domu... Nie, gdzieś w jego wnętrzu. Przypomniałam sobie ogromne pudło wypełnione różnymi drobiazgami, o którym lubiłam myśleć, że jest kufrem pełnym skarbów. Mogłam spędzać całe dni, przekopując się przez jego zawartość i nigdy mi się to nie nudziło.

Szopa.

W pobliżu naszego domu stał spory budynek gospodarczy. Górne piętro było zrobione z gipsu, natomiast dolne – z falistego metalu. W dzieciństwie bardzo często bawiłam się w jego zadziwiająco przestronnym wnętrzu.

Narzuciłam kurtkę, cicho zbiegłam po schodach, prześliznęłam się korytarzem i wyszłam na zewnątrz. Rześkie, poranne powietrze szczypało mnie w twarz, ale kilka wdechów wystarczyło, by poczuć cudowne orzeźwienie.

Z pewną trudnością otworzyłam duże wrota szopy.

Umieszczone w oknach deski przepuszczały jedynie tyle światła, by lekko rozjaśnić pomieszczenie. Pokój miał powierzchnię ośmiu mat tatami; stało w nim całe mnóstwo regałów a przy przeciwległej ścianie majaczyły prowadzące na piętro schody.

Bazując na rozmytych wspomnieniach o tym miejscu, wspiełam się na górę. Do ścian przybite były półki, na których stały wytrzymałe, drewniane pudła. Każde z nich musiało ważyć ponad sto kilogramów. Używając cantusu zaczęłam po kolei je otwierać.

W piątym z kolei znalazłam to, czego szukałam.

Wyciągnęłam okrągłe lustro o średnicy około trzydziestu centymetrów. W przeciwieństwie do zwykłych lusterek z posrebrzonym szkłem, to było bardzo ciężkie, szybko się nagrzewało i wydawało się wykonane z brązu. Było dokładnie takie, jak we śnie.

Powoli zaczęły powracać wspomnienia. Z pewnością widziałam to lustro w przeszłości; prawdopodobnie patrzyłam na nie wiele razy. Dokładnie się mu przyjrzałam. Brąz po tak długim czasie zaczyna się utleniać, w skrajnych przypadkach stając się całkowicie zielony, jednak powierzchnia lustra wydawała się jedynie lekko zamglona.

Ostatni raz mogłam widzieć je minimum przed pięcioma laty. Ktoś musiał je w międzyczasie wypolerować.

Odłożyłam pudełko na swoje miejsce i zabrałam ze sobą lustro.

Nie chciałam, żeby rodzice mnie zobaczyli, więc obeszałam dom i wsiadłam do Hakurena 4. Pomimo tego, że wciąż był wczesny poranek, po kanale sunęło już dość dużo łodzi. Wiejący znad wody wiatr był zimny. Starając się z całych sił by nie wzbudzać podejrzeń, wybrałam najmniej uczęszczaną drogę i zatrzymałam się w pustym doku.

Potałam lustro niewielką ściereczką, którą przy nim znalazłam, chcąc pozbyć się efektu przymglenia. Okazało się to trudniejsze niż przewidywałam. Korzystając z cantusu wyobrażałam sobie obraz brudu, odpadającego płatami od szkła. Brąz stopniowo odzyskiwał swój rdzawo-złoty połysk.

Od momentu znalezienia lustra cały czas nie mogłam odpędzić myśli, że jest ono magiczne. Ten specjalny rodzaj lusterek tworzono wykorzystując specyficzną technikę znaną już w starożytności. Nie dało się zobaczyć żadnego odbicia po prostu patrząc w szkło, jednak po skierowaniu na nie promieni słońca i odbiciu ich na jakąś

powierzchnię, ukazywały się na niej ukryte słowa lub obrazy.. Działanie magicznych lusterek opierało się na rozpraszaniu światła przez brązową powłokę, której niektóre obszary mikroskopijnie odbiegały grubością od reszty. Obraz można było uzyskać jedynie w dziennym świetle; świece, pochodnie i fluorescencja nie ujawniłyby go.

W przeszłości brązowa płyta musiała być na początku miazdżona aż do uzyskania odpowiednio małej grubości. Później nanoszono na nią pożądany wzór i polerowano tak długo, aż przestał być on widoczny gołym okiem. Coś takiego było właśnie jednym z naszych pierwszych zadań praktycznych w Akademii Mędrców. W celu opanowania precyzyjnego dotyku, który był konieczny do prawidłowej kontroli nad naszym cantusem, wszyscy musieliśmy stworzyć magiczne lustro. Pamiętam, że udało mi się ukończyć to zadanie już na pierwszej lekcji. Na ukryty obraz składało się słowo „Saki”, otoczone wymyślnym wzorkiem. Byłam wtedy bardzo zadowolona ze swojego dzieła.

Ustawiłam powierzchnię lustra w kierunku słońca i skierowałam odbity promień na ścianę pobliskiego budynku.

Litery, które ukazały się w środku świetlnego kręgu były tak koślawe, że bardziej przypominały przypadkowe bazgroły. Mimo tego dało się bez trudu zauważyć, że tworzyły one słowo „Yoshimi”.

Kiedy weszłam do klasy, Ryou tak jak zazwyczaj rozmawiał i chichotał ze swoimi przyjaciółmi. Większość z nich była z drugiej grupy.

– Hej, liczę dzisiaj na ciebie – powiedział, gdy tylko mnie zobaczył, uśmiechając się pewnie.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne, gdzie pójdziemy?

– To bez znaczenia, nie zajmę ci dużo czasu.

Wstałam i wyszłam z sali. Ryou, świadomy tego, że patrzą na niego przyjaciele, podążył za mną, udając spokojniejszego i bardziej opanowanego niż był w rzeczywistości.

– Chcę cię zapytać o parę rzeczy.
– Jasne, pytaj – odparł, wyluzowany jak zwykle.
– Wracając do naszego nocnego spływu kajakowego...
– Cały czas drążysz ten temat? – powiedział, krzywiąc się i odwracając wzrok.
– Nauczyłeś mnie wtedy pewnej podstawowej zasady dotyczącej nocnej żeglugi. Pamiętasz, co to było?

– Nie patrz na płomienie.
Słowa chłopca bez twarzy odbiły się echem w mojej głowie.
– Dlaczego?
– To pierwsza zasada spływów kajakowych. Musisz jak najszybciej przyzwyczać oczy do ciemności, bo inaczej nie będziesz w stanie niczego dostrzec.

– To było tak dawno temu, naprawdę nie pamiętam... Może chodziło o to, żeby uważać na skały?

– W porządku, spytam w takim razie o coś świeższego. Dlaczego zerwałeś z Satoru?

To pytanie zupełnie zbiło Ryou z tropu.

– T-to... To nie ma już znaczenia, prawda?

– Byliście ze sobą tak blisko. Nawet byłam o was zazdrosna.

– Och, naprawdę...? – odpowiedział zmieszany.

– No dobrze, w takim razie ostatnie pytanie. Jeszcze raz wróćmy do letniego obozu.

– Dobra, niech będzie – odparł niedbale.

– Chodzi o mnicha, Rijina. Pamiętasz, w jaki sposób zmarł?

– Kim jest Rijin? U-umarł? O czym ty mówisz?

– W porządku – przerwałam jego bezładny bełkot. – To chyba naprawdę nie byłeś ty.

– Co masz na myśli?

– Nie napiszę twojego imienia podczas dobierania partnerów do dyżurów.

Ryou wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

– C-co...? Dlaczego?

– Bardzo mi przykro. Pomyślałam jednak, że uczciwie będzie, jeśli wcześniej cię o tym poinformuję.

Wróciłam do klasy, zostawiając go stojącego w osłupieniu na środku korytarza. Satoru czekał przy drzwiach.

– Masz zamiar napisać jego imię, Saki? – spytał z kwaśną miną.

– Oczywiście, że nie.

– Co? Czemu?

Przypatrzyłam się uważnie Satoru. Nagle ujrzałam go w zupełnie innym świetle.

– Hej, dlaczego właściwie lubiłeś Ryou?

– Dlaczego...? B-bo... – Satoru wydawał się straszliwie zdezorientowany. – Sam się zastanawiam. Gdy teraz o tym pomyślę, kompletnie nie wiem, co mną kierowało.

– Rozumiem. Wiedziałam. Ryou nie jest zły, on po prostu nie pasuje do swojej roli.

– Że co?

– Jestem pewna, że to nie był on. Że to nie w nim oboje się zakochaliśmy.

Satoru potrzebował chwili, żeby przetrwać sens moich słów. Jego policzki się zarumieniły. Pomimo, że niczego nie powiedział, zobaczyłam, jak do jego oczu powraca ich zwykły błysk.

Większość par zostało ustalonych już po pierwszej turze nominacji. Znaleźli się co prawda uczniowie, którzy postanowili, że nie mają niczego do stracenia i napisali imiona osób, na stworzenie pary z którymi nie mieli żadnych szans, jednak zdecydowana większość osób już wcześniej ustaliła swój wybór z potencjalnym partnerem.

Gdy Satoru i ja znaleźliśmy się w jednej dwójce, Ryou nawet nie spojrzął się na żadne z nas. Już po chwili trafił do pary z jedną z dziewczyn z grupy drugiej, co nie było ani trochę zaskakujące.

Uwaga całej klasy skupiła się na tym, kogo wybierze Maria. Bez wahania zdecydowała, że jej partnerem zostanie Mamoru. Prawdopodobnie była to nagroda, słusznie mu się należąca za tak bezgraniczne oddanie Marii.

– Co się stało? Czemu nie wybrałaś Ryou?

Po lekcjach spotkaliśmy się w pobliżu koryta osuszonego kanału. Maria chciała uczcić to, że cała nasza czwórka dobrała się między sobą w pary. Satoru i ja wyjawiliśmy jej prawdę o tym, co zaszło. Myślałam, że po prostu nie będzie chciała do końca nam uwierzyć, jednak zamiast tego spojrzała na nas, jakby nagle zupełnie nam odbiło.

– Dlatego właśnie twierdzę, że to nie był on. Na letnim obozie było nas pięcioro, lecz Ryou nie był jednym z nas.

– To niemożliwe. Pamiętam, że był tam z nami. To on pierwszy znalazł gniazdo sianokułki.

Tak właściwie to ja pierwsza je znalazłam, lecz nie było czasu na sprzeczenie się o nieistotne szczegóły.

– To nie był Ryou.

– No więc kto?

– Nie wiem. Nie potrafię przypomnieć sobie jego imienia.

– Jaki był? Jak wyglądał?

– Jego twarzy również nie pamiętam.

Przypomniał mi się sen, w którym stwierdził, że nie ma żadnej twarzy.

– Naprawdę spodziewasz się, że uwierzę w coś takiego? Wszystko z tobą w porządku, Saki? – Maria pokiwała głową, uśmiechając się cierpko.

Poczułam się urażona jej arogancką postawą.

– Ale ja również pamiętam niektóre z rzeczy, o których wspomniała Saki... – powiedział Satoru, przychodząc mi z pomocą. – Pamiętam też, że z nim chodziłem... Gdy jednak teraz o tym pomyślę, nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że mógł to być Ryou. On nie jest w moim typie.

– Wszyscy wiemy, że pociągają cię młodszy, słodcy, śliczni chłopcy... Tacy jak Rei. – Maria założyła ramiona na piersiach, zadowolona z siebie. – Czasem sam nie wiesz, co robisz. Może był wystarczająco natarczywy.

– Nie, to ja zawsze musiałem zabiegać o jego względy – odparł Satoru, czerwieniąc się. – W każdym razie, jestem pewien, że ktoś majstrował przy naszych wspomnieniach. Pewne szczegóły po prostu się wykluczają.

– Na przykład jakie?

– Ryou... Nie, to zbyt mylące. Nazwijmy tą osobę X. Pamiętam, że często odwiedzałem X w jego domu, gdy byliśmy mali. Ten dom różnił się jednak od posiadłości Ryou. On mieszka w Pięknym Widoku, prawda? Na szczycie pagórka otoczonego łąkami. Ale dom X znajdował się...

– W środku lasu! – krzyknęłam bez zastanowienia.

– Racja. Daleko na północy. Pamiętam, że to był olbrzymi, stojący na uboczu budynek.

– Teraz, gdy o tym wspomniałeś... Też zaczynam sobie przypominać. – powiedziała Maria, krzywiąc się. Była piękna nawet mimo takiej miny goszczącej na twarzy.

– Nigdy nie byłem w domu X ani Ryou – odezwał się niespodziewanie Mamoru. – Ale gdzie miałyby się znajdować ten las na północy?

Też nad tym myślałam, ale nie potrafiłam skojarzyć żadnego pasującego miejsca.

– Hej, wymień po kolei nazwy wszystkich siedmiu wiosek – poprosiłam Satoru.

– Co? Teraz?

– Po prostu to zrób.

Do tej pory nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że Satoru może słuchać moich poleceń, jednak odkąd dobraliśmy się w parę do dyżurów, stał się zadziwiająco uległy.

– Uch, więc tak: Dębowy Gaj, Martwe Drzewo, Biały Piasek, Złocista Wioska, Wodny Młyn, Piękny Widok i Zbożowy Krąg, racja?

Tym razem to ja zmarszczyłam brew. Nazwy tych wiosek towarzyszyły mi przez całe życie... Dlaczego więc brzmiały tak dziwnie?

– Mówicie o lesie, czyli może chodzi o Dębowy Gaj? Ale skoro miało to być na północy... – Na twarzy Marii malowało się niezwykle skupienie. – Myślę, że to było Martwe Drzewo. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że nie ma tam żadnych dużych domów.

– Tak, ciężko sobie wyobrazić, że to mogło być tam. Poza tym, wszystko dalej na północ wydaje się leżeć już poza Świętą Barierą.

Zauważyłam, że kącik oka Satoru lekko się poruszył kiedy to mówił. Westchnęłam. To uczucie... Takie samo towarzyszyło mi w przeszłości wielokrotnie, kiedy byłam bliska przypomnienia sobie czegoś istotnego. Zastanawiałam się, czy inni dostrzegali w takich sytuacjach drżenie moich oczu. To prawdopodobnie miał być jakiś rodzaj ostrzeżenia; zakotwiczony głęboko w naszych umysłach mechanizm nie pozwalający nam przypomnieć sobie pewnych rzeczy.

– Chodźmy – rzuciłam.

Wszyscy utkwili we mnie wzrok.

– Dokąd?

– Do Martwego Drzewa, oczywiście.

– Ale dopiero co dobraliśmy się w pary. Wszyscy pozostali świętują. Naprawdę musimy iść do tego ponurego miejsca? – narzekała Maria.

Martwe Drzewo w istocie nie tętniło życiem.

Wzdłuż nabrzeża stały ustawione w szeregu domy, przez które miało się wrażenie, że stoi się w gwarnym centrum miasteczka, jednak im dalej się szło, tym mroczniejsze wszystko się stawało. Liczne szeregi opuszczonych domostw przywodziły na myśl miasto duchów.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytał Satoru, dotykając zatrzaśniętych okiennic w jednym z okien.

– Czy to nie tu miała miejsce jakaś katastrofa, po której mieszkańcy musieli przenieść się do innych wiosek? – podsunął Mamoru.

Też pamiętałam coś takiego. Nawet w tak małym społeczeństwie jak nasze, pozostawało wiele niejasności na temat tamtego wydarzenia.

– Tak czy siak, dom X powinien znajdować się jeszcze dalej na północ. Spróbujmy go odszukać – ponagliłam ich.

Wybraliśmy wąską, niepozorną ścieżkę, nie napotykając nikogo po drodze. W innych wioskach coś takiego byłoby niemożliwe.

Po jakiejś godzinie zaczęliśmy pomału dostrzegać skutki „katastrofy”, która dotknęła Martwe Drzewo.

Ziemia poprzecinana była tu i ówdzie szerokimi rozpadlinami, na dnie których zalegały stosy połamanych drzew. W niektórych miejscach poziom gruntu podniósł się bądź obniżył o więcej niż metr. Wyglądało to jak efekt potężnych wstrząsów, lecz gdyby rzeczywiście miało miejsce trzęsienie ziemi o takiej magnitudzie, mocno ucierpieć musiałby cały dystrykt Kamisu 66.

Natknęliśmy się na zajmującą duży obszar strukturę, przypominającą olbrzymi fałd, tworzącą miniaturowe pasmo górskie, którego wysokość miejscami przekraczała trzy metry.

– Co tu się stało, na niebiosa? – wyszeptał pod nosem Satoru.

– Człowiek, który stworzył coś takiego, musiał dysponować naprawdę potężnym cantusem. – odpowiedziała Maria.

– Ale dlaczego to zrobił?

– Nie wiem ani trochę więcej od ciebie.

Zatrzymaliśmy się gwałtownie, napotykając na ścieżce przeszkodę.

– Święta Bariera...

Czerwone sosny leżały poprzewracane jak kostki domina, jednak niektóre drzewa zostały podniesione do pionu i przewiązane grubym sznurem bariery.

– Czy Martwe Drzewo zawsze było tak niewielkie? Doszliśmy już do Bariery. – zauważyłam.

Satoru przyjrzał się linie. – Nie, ten sznur jest nowy... – urwał nagle w połowie zdania i spojrzał na mnie.

Jakby telepatycznie poczułam, że dokładnie wiem, o czym myśli. Déjà vu. Kiedyś rozmawialiśmy już dosłownie o tym samym. Byłam tego pewna.

Poszliśmy wzdłuż liny i dotarliśmy na otwartą, pagórkowatą przestrzeń ogołoconą z drzew.

– Nie miałam pojęcia, że tu znajduje się coś takiego – powiedziała oniemiała z wrażenia Maria.

Staliśmy na brzegu głębokiego, błękitnego jeziora. Było prawie idealnie koliste, zupełnie jakby powstało we wnętrzu krateru. Ponieważ znajdowało się poza Bariera, nie mogliśmy podejść bliżej, żeby lepiej się mu przyjrzeć, lecz z pewnością miało ponad dwieście metrów średnicy.

Za nim rozciągał się jeszcze większy zbiornik wodny, tak rozległy, że nie mogliśmy dostrzec przeciwległego brzegu. Możliwe, że ciągnął się aż do jeziora Kitaura. W przeciwieństwie do mniejszego akwenu, który powstał najwyraźniej w dużej niecce, duże jezioro bardziej przywodziło na myśl starą tamę, która po wybudowaniu spowodowała zatopienie sporej części lasu. Prawdopodobnie stąd wzięła się nazwa wioski Martwe Drzewo.

– Dalej nie może być żadnych domów – powiedział Mamoru, w którego głosie było słychać wyraźną chęć jak najszybszego opuszczenia tego miejsca. – Musiało się wam coś pomylić. Żaden X nie istnieje.

– W takim razie czemu... – odparła cicho Maria – czemu mam wrażenie, że wiem, o czym mówią Saki i Satoru? Że osobą, którą znałam nie był Ryou, a jakiś inny chłopiec?

– To nasze umysły wprowadzają nas w błąd. Wszyscy teraz szybko rośniemy, i nie mam tu na myśli tylko wzrostu. Zmienia się też nasz wygląd i osobowość.

Satoru i ja spojrzeliśmy na siebie. Słowa Mamoru kompletnie nie odpowiadały naszym odczuciom. Osobiście miałam wrażenie, że czas zaczął się wlec wolniej niż ślimak. Czułam się jak uwięziony w bursztynie owad, który pozostanie w nim zamknięty już na wieczność.

– Hej, czy nie było kogoś jeszcze...? – spytała zniecierpliwiona Maria. Zatopiliśmy się w myślach.

– To, że w naszej grupie od początku było czworo członków rzeczywiście nie trzyma się kupy. Zanim doszedł Ryou, jego miejsce zajmował X, jednak wciąż brakuje jednej osoby. Nie potrafię sobie przypomnieć, ale mam wrażenie, że był z nami jeszcze ktoś.

Powoli z zakamarków mojego umysłu wypłynęła wizja jakiejś dziewczyny. Po chwili przypomniał mi się też nagrobek w kształcie karcianej piramidy, który widziałam we śnie.

– Ktoś był. Pamiętam – odparł Satoru, masując skronie, jakby miał migrenę. – Tak jak w przypadku X, wygląda na to, że pozostały mi niektóre wspomnienia o tej osobie. Ale dlaczego nikt inny o nich nie pamięta?

– Przestańcie! – wrzasnął Mamoru. – To jest złe! Nie powinniśmy wścibiać w to nosów. Jeśli będziemy dalej o tym rozmawiać, to... – zamilkł nagle. Wyglądał na przerażonego.

– To co? Myślisz, że się nas pozbędą?

Po tych słowach zapadła grobowa cisza.

– Saki, czy nie mówiliśmy o czymś takim także podczas letniego obozu? – zapytała Maria z pobladłą twarzą.

– Mówiliśmy. Tak myślę. Nie potrafię jednak przypomnieć sobie żadnych konkretów. Kiedy próbuję wrócić myślami do tych wspomnień, napotykam na jakiś mur – odparł Satoru. – Wiem jednak, że rozmawiałem o tym z Saki. Z wami wszystkimi. Siedzieliśmy przy ognisku. Pamiętam, że X zgodził się wtedy ze mną.

Satoru nadal pocierał czoło oboma kciukami, jakby chciał pozbyć się potwornego bólu głowy.

– Skończcie! Nie chcę już tego słuchać! Nie powinniśmy o tym mówić! Łamiemy Kodeks Etyki! – krzyknął rozhisteryzowany Mamoru.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby do takiego stopnia stracił nad sobą panowanie.

– Dobrze, już dobrze. Uspokój się. – Maria objęła go ramionami i delikatnie pogładziła jego głowę. – Dajmy sobie z tym spokój... W porządku? – spytała, łypiąc na naszą dwójkę.

Skinęliśmy głowami.

Ukryty obraz z magicznego lustra padał na ciemne deski ogrodzenia.

Satoru i Maria pogrążyli się na chwilę w zadumie. Mamoru poszedł już do domu, mówiąc, że źle się czuje.

– I co o tym myślicie? – spytałam.

– Uch... Napis jest dość niechlujny, ale myślę, że to dlatego, że jego autor dopiero uczył się korzystać z cantusu – odezwał się w końcu Satoru.

– Tak, w końcu nam też na początku powierzono takie samo zadanie – zgodziła się z nim Maria.

– Teraz mi wierzycie?

– Po pierwsze, nigdy nie sądziłam, że kłamiesz. I myślę, że to możliwe, że miałaś siostrę. Zastanawiam się tylko, czy założenie, że została wyeliminowana przez szkołę nie jest zbyt daleko idące.

– Gdyby zmarła z powodu choroby albo w wypadku, rodzice nie musieliby tego przede mną ukrywać, prawda?

Maria unikała mojego wzroku.

– Chyba masz rację. Ale może po prostu chcieli oszczędzić ci smutnych wspomnień?

– Przyjrzyj się tym literom. Nie wydają ci się zbyt koślawe? Tak jak powiedział Satoru, korzystanie z cantusu musiało nie wychodzić mojej siostrze zbyt dobrze.

– Nie neguję takiej możliwości, ale to wciąż tylko domysły.

Satoru wziął ode mnie lustro i poprawił kąt pod którym odbijało się od niego padające na płot światło.

– Gdy teraz na to patrzę, nie powiedziałbym, że napis jest źle wykonany. Znaki są prawidłowo wyrzeźbione, linia po linii. Po prostu są trochę powykrzywiane i zachodzą na siebie...

Nie wiedziałam wtedy do czego zmierza Satoru. Dużo później dowiedziałam się, że taki wygląd pisma może być spowodowany pewnym rodzajem wady wzroku i byłam zdumiona tym, jak spostrzegawczy się okazał. Mam silne podejrzenia, że mylnie posądzono moją siostrę o nieumiejętność władania cantusem z powodu jej kłopotów ze wzrokiem. Teraz, gdy większa część dokumentacji została zniszczona, nigdy nie będzie mi dane dowiedzieć się, czy rzeczywiście tak było.

Z tego co wiem, w dawnych czasach zwano takie nieprawidłowości krótkowzrocznością i astygmatyzmem. W celu niwelowania ich skutków, ludzie nosili okulary korekcyjne z soczewkami o różnej mocy. W ten sposób ich wzrok stawał się prawidłowy i mogli prowadzić normalne, bezproblemowe życie.

– Tak czy siak, miałam siostrę. – Zabrałam Satoru lustro i wysoko je uniosłam. – To jest niezaprzeczalny dowód.

– Schowaj je – powiedział cicho Satoru. – Jeśli ktoś cię zobaczy, będziesz miała kłopoty.

– Rozumiem jak się teraz czujesz, Saki – wyszeptała Maria, zarzucając mi ręce na szyję. – Ale proszę cię, nie pakuj się więcej w żadne tarapaty.

– W tarapaty? Ja po prostu chcę poznać prawdę – odparłam z oburzeniem. – Nie chodzi tylko o moją siostrę, ale też o tamtą dziewczynę z naszej grupy. I co jeszcze ważniejsze, o...

X. Chłopiec bez oblicza. Człowiek, którego kochałam jak nikogo innego; którego twarzy nie potrafiłam już sobie przypomnieć.

– O naszego przyjaciela – dokończyłam.

– Rozumiem cię. Mi też nie jest łatwo. Pozostało mi o nim mnóstwo wspomnień, ale brakuje w nich najważniejszych

fragmentów. Chciałabym móc coś z tym zrobić nie mniej od ciebie, jednak bardziej martwię się teraz o przyjaciół, którzy wciąż żyją.

– Nie musisz się mną przejmować.

– Nie mówię o tobie. Ty jesteś silna, poradysz sobie – odparła.

– Silna?

– Tak, i mogę to stwierdzić z większą pewnością niż ktokolwiek inny. Jesteś w stanie to znieść, lecz większość ludzi nie poradziłoby sobie z takim cierpieniem.

– Za kogo ty mnie właściwie bierzesz? – spytałam, strącając z ramienia jej dłoń.

– Nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że jesteś nieczuła. Wręcz przeciwnie, jesteś wrażliwsza niż inni. Po prostu umiesz stawić czoła temu bólowi i rozpaczom i dalej trzymać się życia.

Mój gniew zelżał, gdy ujrzałam kropelki łez kręcące się w kąciakach jej oczu.

– My nie jesteśmy tak wytrzymali jak ty. Może się wydawać, że jestem nieustraszona, ale prawda jest taka, że gdy zaczyna dziać się coś złego, pierwsza chowam głowę w piach... Jest jednak ktoś jeszcze słabszy ode mnie czy Satoru.

– Mówisz o Mamoru? – spytał Satoru.

– Tak. Mamoru jest zbyt poczciwy i delikatny. Nigdy nie pozbierałby się, gdyby został zdradzony, nie tylko przez ludzi ale także przez świat, w który wierzy... – Maria pomału mnie objęła. – Ziemia jest pełna rzeczy, o których najprawdopodobniej lepiej nie wiedzieć. Nie myślisz czasem, że prawda jest najokrutniejszym, co można usłyszeć? Nie wszyscy mogą ją znieść. Jestem pewna, że Mamoru nie poradziłby sobie z większą ilością tych przerażających faktów.

Nie odzywaliśmy się przez dłuższą chwilę. Westchnęłam.

– W porządku.

– Naprawdę?

– Obiecuję, że Mamoru nie usłyszy już na ten temat ani słowa. – Przytuliłam ją mocno. – Ale nie spocznę, dopóki nie odkryję prawdy. Jeśli tego nie zrobię, on będzie mnie nawiedzał do końca życia.

Chłopiec bez twarzy. Nie mogłam pozwolić by został tak po prostu zapomniany, bo to by znaczyło, że nigdy nie istniał. Bez względu na wszystko musiałam odzyskać swoje wspomnienia o nim.

Objęliśmy się i pocałowaliśmy. Obecność przyjaciół dawała całej naszej trójce siłę i pocieszenie.

Wróciliśmy do przystani leżącej tuż za granicami Wodnego Młyna. Zazwyczaj nikt nie kręcił się w pobliżu a biegnący wzdłuż kanału płot czynił z doku idealne miejsce spotkań.

Gdy odwiązywaliśmy łodzie usłyszeliśmy za sobą wołający nas głos.

– Macie minutkę?

Odwróciłam się i ujrzałam kobietę i mężczyznę w średnim wieku, stojących na pomoście. W Kamisu 66 nie było zbyt wielu ludzi, których nigdy nie spotkałam, lecz ta dwójka wydawała mi się zupełnie obca. Kobieta, która się do nas odezwała była niska, pulchna i emanowała od niej łagodność. Mężczyzna, również dość puciołowaty, uśmiechał się do nas uprzejmie.

– Jesteś Saki Watanabe, prawda? A wy to Maria Akizuki i Satoru Asahina? – spytał.

– Tak – odpowiedzieliśmy speszeni.

– Nie musicie się denerwować. Chcemy tylko zamienić z wami parę słów, to wszystko.

Mają zamiar się nas pozbyć? Spojrzeliśmy po sobie, nie wiedząc, co powinniśmy uczynić.

– Ee... Jesteście z Rady Edukacji? – spytał odważnie Satoru.

– Nie, pracujemy dla twojej babci – odpowiedziała z uśmiechem krągła kobieta.

– Naprawdę?

O co tu chodzi? Nigdy wcześniej nie słyszałam niczego o babci Satoru. Widząc zakłopotanie na twarzy Marii i mojej, kobieta ponownie się uśmiechnęła.

– Babcią Satoru Asahiny jest Tomiko Asahina, przewodnicząca Komisji Etyki.

Rozdział 2

Płynęliśmy barką bez okien, taką samą jak ta, na pokładzie której przybyliśmy do Świątyni Czystości. Tym razem jednak przemieszczaliśmy się zwykłymi kanałami a łódź nie zmieniała bezsensownie kierunku żeby utrudnić nam orientację, więc miałam jakieś pojęcie dokąd zmierzamy.

Przystań również nie wyróżniała się niczym szczególnym. Spodziewałam się, że zostaniemy zabrani poza Świętą Barierę, więc poczułam lekki zawód.

Kiedy wchodziliśmy w wąski zaułek odchodzący od głównej ulicy wioski, kątem oka wychwyciłam budynki ratusza oraz biblioteki, gdzie pracowali moi rodzice. Siedziba Komisji Etyki mieściła się bardzo blisko centrum Zbożowego Kręgu. Z zewnątrz wyglądała jak zwykły sklep, lecz kiedy weszliśmy przez frontowe wrota, ujrzałam rozciągający się przede mną olbrzymi hol i uświadomiłam sobie, że w rzeczywistości budowla jest naprawdę spora.

Zaprowadzono nas do cichej sali, położonej w głębi budynku. W małej altance stało dymiące kadzidło z drzewa sandałowego a na ścianie powyżej niego wisiał zwój z malunkiem przedstawiającym zimowe peonie. Obok dużego, lakierowanego stołu leżały trzy poduszki barwy głębokiej purpury, oświetlone sączącym się przez papierowe okna blaskiem. Usiedliśmy na nich z niepokojem.

– Poczekajcie tu, proszę, przez chwilę – powiedziała kobieta, która nas tu zaprowadziła i zamknęła za sobą zasuwane drzwi.

– Co jest grane? – spytałyśmy jednocześnie z Marią Satoru.

– Nigdy nie wspomniałeś, że twoja babcia jest szefową Komisji Etyki.

– Chyba nas dla niej nie szpiegowałeś, co?

– Hej, wstrzymajcie się trochę – odparł Satoru, odchylając się do tyłu. – Sam nie miałem o tym pojęcia.

– Niby o czym?

– Że moja babcia... Że Tomiko Asahina jest przewodniczącą Komisji.

– Kłamiesz.

– Chyba sobie żartujesz. Jak mogłeś tego nie wiedzieć? Przecież jesteś jej wnukiem.

– Pozwólcie mi wytłumaczyć. – Satoru odsunął się od nas tak gwałtownie, że spadł z poduszki. – Wy też nie wiedziałyście, kto kieruje Komisją, zgadza się?

– Nie, i co z tego?

– W przeciwieństwie do innych zawodów, tożsamości członków Komisji Etyki nie są podawane do publicznej wiadomości. Oni sami też nie informują nikogo o swojej pracy.

– I niczego się nie dopatrzyłeś? – spytała Maria równie podejrzliwie jak poprzednio.

– Właściwie to nie – odparł poważnym tonem Satoru, siadając ze skrzyżowanymi nogami.

– Ale to twoja babcia! – upierała się.

– Jestem tego w pełni świadomy...

– Wybaczcie. – Usłyszeliśmy dochodzący zza drzwi głos.

Satoru szybko wrócił na swoją poduszkę. Również ja i Maria naprędcie się wyprostowałyśmy.

– Przepraszam, że musieliście tyle czekać.

Drzwi się rozsunęły i pojawiła się w nim ta sama kobieta co poprzednio, trzymając w dłoniach tacę z filiżankami herbaty. Postawiła je przed nami razem z kilkoma przekąskami.

– Chcemy porozmawiać z każdym z was na osobności. Czy mogę więc was prosić, byście szli za mną pojedynczo?

Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym odmówiła, choć oczywiste było, że taka opcja nie wchodzi w grę.

– Doskonale. W takim razie poproszę cię jako pierwszą, Saki Watanabe.

Byłam koszmarnie spragniona, ale nie miałam innego wyboru jak wyjść za kobietą na korytarz.

– Człowiekiem, który miał z tobą rozmawiać jest pan Niimi, ten, który przybył tu razem z nami. Och, ale ja też się jeszcze nie przedstawiłam. Nazywam się Kinomoto. Miło mi cię poznać.

– Mi również – odpowiedziałam, kłaniając się szybko.

– Jednakże – kontynuowała kobieta – gdy poinformowałam przewodniczącą o waszym przybyciu, poprosiła o możliwość osobistej rozmowy z tobą. Dlatego właśnie zmierzamy teraz prosto do jej gabinetu.

– Och, ma pani na myśli babcię Sa... To znaczy, Tomiko Asahinę?

– Tak. Jest bardzo uprzejma, więc nie musisz się denerwować.

Jej słowa ani trochę mnie nie uspokoiły. Moje serce, i tak bijące już dość szybko, zaczęło łomotać jeszcze zwawiej.

– Przepraszam na chwilę. – Kinomoto uklękła na jedno kolano i zapukała do drzwi

Czekałam pełna obaw.

– Proszę – odezwał się czysty, kobiecy głos.

Drzwi się otworzyły i weszliśmy do pomieszczenia przypominającego pokój gościnny, dwukrotnie większy od tego, z którego przyszłam. Po mojej lewej znajdowała się elegancka wnęka, w której urządzono stanowisko do pracy, natomiast na przeciwległej ścianie wisiało kilka nachodzących na siebie półek.

– Wprowadź ją, proszę – odezwała się siwowłosa kobieta siedząca przy stole, nie podnosząc na nas wzroku.

– Jak sobie życzysz.

Na środku pokoju ustawiono niski stół, podobny do tego z poprzedniego pomieszczenia. Uklękłam na leżącej przed nim poduszce.

– W takim razie zostawiam was – rzekła Kinomoto, zwinnie opuszczając pomieszczenie.

Miałam wrażenie, że zostałam sama, zamknięta w klatce z dzikim zwierzęciem. Zaszło mi w gardle a ręce i stopy miałam zimne jak lód.

– Jesteś Saki Watanabe? Córka Mizuho-chan?¹ – zapytała szarowłosa dama.

– Tak.

– Nie obawiaj się. Jestem Tomiko Asahina. Słyszałam, że jesteście z Satoru dobrymi kolegami – powiedziała, wstając z wdziękiem. Przysunęła się trochę i ponownie usiadła tyłem do wnęki. Ozdobione delikatnym wzorkiem szarosrebrzyste ubranie, które na sobie miała doskonale komponowało się z barwą jej włosów.

– Satoru... Satoru-san i ja od dzieciństwa jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Rozumiem – uśmiechnęła się.

Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Sądząc po jej dużych oczach i kształtnej figurze, w młodości musiała być zniewalająco piękna.

– Tak jak myślałam. Masz cudowne oczy. Są pełne światła.

Ludzie często mi to mówili. Prawdopodobnie dlatego, że nie miałam żadnej innej cechy, która mogłaby budzić zachwyt. Często słyszałam także, że moje oczy są pełne blasku, lecz również to nie było pocieszające, bo osoby, które tego blasku nie mają zazwyczaj są po prostu martwe.

– Dziękuję pani.

– Zawsze chciałam choć raz z tobą porozmawiać.

Najwyraźniej nie powiedziała tego jedynie z czystej uprzejmości. Byłam zdezorientowana.

– Dlaczego? – spytałam.

– Ponieważ zostaniesz kiedyś moją następczynią.

Opadła mi szczeka. Nie byłam w stanie nawet pomyśleć nad stosowną odpowiedzią.

¹ Podobnie jak autor tłumaczenia na angielski zdecydowałem się na pozostawienie honoryfikatorów w przypadku tej rozmowy. Mają one tu duże znaczenie, ponieważ wskazują na stosunek panujący między osobą mówiącą i określaną. W przypadku dorosłego, mówiącego o swoim rówieśniku prawie zawsze stosuje się końcówkę –san, więc określenie Mizuho przez Tomiko tytułem –chan, wykorzystywanym m.in. przez dorosłych podczas zwracania się do dzieci to pozorny nietakt. Powód, dla którego używa takiego przyrostka, jest wyjaśniony w dalszym fragmencie powieści. Końcówka –san, dodana przez Saki do imienia Satoru ma wskazywać natomiast na to, że stara się ona wypowiadać w bardzo formalny sposób.

– Zaskoczona? To nie jest żaden żart ani nieprzemyślana zachcianka.

– A-ale to niemożliwe. Ja nie pasuję do tej roli.

– Ho ho. Dokładnie to samo mówiła mi Mizuho-chan. Jaka matka, taka córka.

– Zna pani moją matkę? – spytałam, przysuwając się bliżej.

Pomimo tego, że wcześniej byłam bardzo zaniepokojona, Tomiko Asahina miała jakąś specjalną zdolność, która sprawiała, że ludzie ufali jej i otwierali się przed nią.

– Tak, i to bardzo dobrze. Znam ją od chwili jej narodzin – odpowiedziała głosem, który zdawał się płynąć wprost do głębi mojego serca. – Mizuho chan ma szczególny dar kierowania ludźmi. Doskonale spełnia się w roli opiekunki biblioteki. Moje stanowisko wymaga jednak czegoś więcej. Czegoś, czego nie ma nikt poza tobą.

– A-ale dlaczego ja? Wciąż się uczę a moje stopnie wcale nie są jakieś wybitne.

– Stopnie? Masz na myśli swój cantus? Nie jesteś chyba zainteresowana zostaniem kimś takim jak Shisei, prawda?

– No cóż... Nawet gdybym była, nie dałabym rady.

– Biegłość w posługiwaniu się mocą nie jest wszystkim, co testuje szkoła. Jest jeszcze indeks osobowości. To coś, o czym nie pozwalały dowiedzieć się uczniom.

– Indeks osobowości?

Tomiko uśmiechnęła się, odsłaniając nienaturalnie białe jak na jej wiek zęby.

– Niezależnie od epoki, tym, czego oczekuje się od wielkich przywódców nie są żadne specjalne umiejętności, lecz wysoki indeks osobowości.

Nagle poczułam, że wszystko staje się prostsze. Dotychczas czułam się przytłoczona wieloma rzeczami, w których byłam gorsza od innych.

– Ma pani na myśli takie cechy jak inteligencja, wrażliwość albo zdolności przywódcze? – zapytałam z zapałem.

Tomiko zaprzeczyła subtelnym ruchem głowy.

– Nie, to nie ma żadnego związku z inteligencją. Wrażliwość też nie ma nic do rzeczy. Zdolności przywódcze natomiast można nabyć przez doświadczenie.

– Więc co...?

– Indeks osobowości jest liczbą, określającą stabilność emocjonalną człowieka. To zdolność zachowania zdrowego rozsądku i działania bez popadania w rozpacz niezależnie od wszelkich niespodziewanych sytuacji i przeciwności losu. To właśnie jest najważniejsza cecha przywódców.

Nie wiedzieć czemu, nie poczułam się specjalnie pocieszona tymi słowami. Przypomniałam sobie Marię, mówiącą, że jestem silna. Czy to nie znaczyło po prostu, że jestem wyprana z uczuć?

– To znaczy, że mój wynik jest wysoki?

– Tak, niezwykle wysoki. Prawdopodobnie najlepszy w historii Akademii. – W jej oczach pojawił się nagle przenikliwy błysk. – Ale to nie wszystko. Najbardziej niezwykłym faktem jest to, że nawet mimo odkrycia prawdy, wartość twojego indeksu nie uległa permanentnemu obniżeniu.

Poczułam jak krew odpływa mi z twarzy.

– O czym pani mówi?

– Od fałszywego minoshiro dowiedziałaś się o krwawych dziejach ludzkości i o tym, po jak cienkim lodzie obecnie stąpamy, żeby zachować z trudem wywalczony pokój. Po waszym powrocie poddaliśmy was szczegółowej ocenie psychologicznej i przez pewien czas badaliśmy wasze zachowanie. Po początkowym szoku twój indeks osobowości ustabilizował się zdumiewająco szybko. Pozostałej czwórce zajęło to znacznie więcej czasu.

Więc po tym, jak odkryliśmy prawdę obserwowano nas jak doświadczalne świnki morskie. Mimo, że w pewnym stopniu się tego spodziewałam, ta informacja nadal była dla mnie dużym wstrząsem.

– Czy to możliwe, że... Że planowała to pani od samego początku?

– Absolutnie nie. – Na twarzy Tomiko ponownie zagościł zwyczajny, uprzejmy uśmiech. – Nigdy nie podjęlibyśmy tak wielkiego ryzyka. Wiedzieliśmy jedynie, że zamierzacie złamać zasady, lecz schwytywanie fałszywego minoshiro, terminalu bibliotecznego z minionej ery... Tego nikt nie mógł przewidzieć.

Czy to wszystko prawda? Nie potrafiłam w pełni przekonać się do jej słów.

– Czyli jestem tu z powodu tych wyników...

– Nie. Żeby móc wziąć odpowiedzialność za los całej ludzkości jako jej najwyższy przywódca, potrzebny jest otwarty umysł i nerwy ze stali w obliczu prawdy. Ty łączysz w sobie obie te cechy.

Otwartość umysłu to dość praktyczne określenie. Każdy może zaakceptować rzeczy dobre i piękne. Ważną rzeczą jest jednak zdolność cichego tolerowania także tego, co brzydkie i plugawe.

– Złamaliśmy zasady i zdobyliśmy wiedzę, której nie powinniśmy byli osiąść. Dlaczego nie zostaliśmy wymazani?

Barwa mojego głosu nagle stała się oskarżycielska, ale Tomiko zdawało się to nie przeszkadzać.

– Doskonale rozumiem co chcesz powiedzieć. To żadna wymówka, ale decyzja o ewentualnym pozbyciu się ucznia nie należy do zakresu naszych uprawnień. Rozstrzygnięcie takich spraw leży w gestii Rady Edukacji. Ich przewodniczącą jest Hiromi-chan. Znasz ją, prawda? Zawsze się przesadnie zamartwiała. Ostatnimi czasy mam nieodparte wrażenie, że stała się jeszcze bardziej nerwowa.

Hiromi-chan... Obiło mi się o uszy, że Hiromi Torigai należy do Rady Edukacji, ale nie miałam pojęcia, że jest jej szefową. Była dobrą przyjaciółką mojej mamy i często zostawała w naszym domu na kolacji. Wydawała się zamknięta w sobie; była niska i drobna a jej głos był tak cichy, że ledwo dało się go usłyszeć. Więc to ona miała prawo wyrokowania o życiu lub śmierci dowolnego ucznia i często podejmowała takie decyzje z zimną krwią? Nie mogłam w to uwierzyć.

– Komisja Etyki posiada najwyższą władzę w dystrykcie, ale zazwyczaj nie mieszamy się w postanowienia Rady Edukacji. Wy byliście wyjątkiem. Poprosiłam ich, żeby was oszczędzili.

– Z powodu Satoru?

– Nie. Nigdy nie pozwoliłabym, żeby osobiste sentymenty wpłynęły na decydowanie o tak istotnej kwestii. To ty byłaś powodem mojej interwencji. Jesteś niezbędna dla przyszłości naszych wiosek.

A więc o mało co nie zostaliśmy zamordowani. Nie wiedzieć czemu, słysząc tę informację nie poczułam się ani trochę skrępowana.

Co jednak było prawdziwą przyczyną darowania nam życia? Czy naprawdę stało się to dlatego, że byłam tak ważna, jak twierdziła Tomiko? Ciężko było mi się z tym pogodzić. Nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi niczego podobnego, więc byłam totalnie zbita z tropu. Zastanawiałam się, czy to możliwe, że nie mogli tak po prostu zabić córki głównej bibliotekarki... Gdyby jednak tak było, to przecież moja siostra też powinna zostać oszczędzona.

– Jednak proszę, nie myśl źle o Hiromi i jej podwładnych. Kieruje nimi pewnego rodzaju paranoja.

– Paranoja...?

Czyżby posiadanie mocy decydowania o śmierci innych ludzi mogło spowodować powstanie jakichś uszkodzeń w ich umysłach?

– Hm. Chyba źle dobrałam słowa. Mi towarzyszy taki sam strach.

– Strach przed czym?

Tomiko wyglądała na zaskoczoną. – Czy to nie oczywiste? Na tym świecie istnieją tylko dwie rzeczy, których musimy się obawiać. Bestie i karmiczne demony.

Zaniemówiłam. Przypomniałam sobie te dwie opowieści, których tak często słuchałam jako dziecko.

– Jednakże Hiromi, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie widziała Bestii ani karmicznego demona. Dlatego zawsze powtarzam, że jest wiedziona paranoją.

– Więc pani naprawdę...

– Tak. Widziałam je. Z bliska i na własne oczy. Chcesz o tym posłuchać?

– Tak.

Tomiko zamknęła na chwilę oczy i zaczęła mówić spokojnym głosem.

Zapiski z całego świata mówią łącznie o blisko trzydziestu przypadkach pojawienia się Bestii. Z wyjątkiem dwóch, wszystkie były chłopcami. Wydaje mi się, że to dobitnie pokazuje, że niezależnie od podejmowanych wysiłków, nie potrafimy przełamać tej klątwy, jaką jest wrodzona męska agresja.

Tamten uczeń również był chłopcem. Niestety, nie pamiętam już jak się nazywał. Pomimo, że stało się to tak dawno temu, jestem w stanie przypomnieć sobie każdy inny szczegół z wyjątkiem jego imienia. Zawsze wydawało mi się to dziwne. Może istniał jakiś powód, dla którego chciałam je zapomnieć.

Mimo, że biblioteka posiada szczegółowy raport na temat tamtego incydentu, zachowały się jedynie inicjały – Y.K. Nie wiemy nawet, która litera reprezentuje imię, a która nazwisko. Nie jesteśmy pewni, dlaczego sprawozdanie zostało napisane w taki sposób, ale jedno z prawdopodobnych wyjaśnień mówi, że na krótki okres czasu przed ustanowieniem Kodeksu Etyki powrócono do respektowania starego prawa Japonii, co oznaczało, że obowiązywał zawierający się w nim artykuł sześćdziesiąty pierwszy, dotyczący ochrony tożsamości nieletnich... Cóż, to chyba nie ma teraz znaczenia.

W każdym razie, nazywajmy tego chłopca K.

K był wtedy pierwszoklasistą w Szkole Przywództwa, którą przekształcono później w obecnie istniejącą Akademię Mędrców. Dopiero co skończył trzynaście lat... tak, to prawda; był wtedy rok młodszy od ciebie.

Na początku K wydawał się przeciętnym, niczym nie wyróżniającym się dzieckiem. Pierwszą oznaką jego zaburzeń były wyniki testu Rorschacha, któremu poddawani byli wszyscy nowi uczniowie. Tej próby już się nie przeprowadza; w każdym razie polegała ona na tym, że pokazywało się badanemu plamy atramentu powstałe po złożeniu arkusza papieru i pytano się go, jaki obraz widzi. Następnie przeprowadzano analizę psychologiczną na podstawie odpowiedzi, których udzielił.

Opierając się na odpowiedziach K, ustalono, że pozostaje on pod wpływem stałego, niezwykle silnego stresu; nie było jednak jasne, co go wywołuje. Z drugiej strony, wszystkie obrazy, jakie zauważał w atramentowych plamach, cechowała nienaturalna brutalność i przemoc. Prawdopodobnie żądza zniszczenia i zabijania była zakorzeniona głęboko w jego podświadomości. Z jakichś powodów wszystkie te nieprawidłowości nie zostały wtedy potraktowane poważnie; nawet wyniki testu nie wzbudziły większych obaw. Dopiero po ich ponownym przeanalizowaniu, już po incydencie, dostrzeżono, jak były niepokojące.

Zaburzenia osobowości K wyszły na jaw, gdy w Szkole Przywództwa nauczył się władać swoim cantusem.

Jego zdolności korzystania z mocy były przeciętne, albo nawet plasowały się poniżej średniej. Jednakże, w pewnych sytuacjach, w których inni uczniowie zdawali się sobie nie radzić, K błyszczał. Nie potrafię przytoczyć konkretnych przykładów, lecz podczas niektórych zadań, przy których istniało prawdopodobieństwo wyrządzenia krzywdy innym osobom, K korzystał ze swojego cantusu bez momentu zawahania.

Korepetytorka chłopca szybko dostrzegła jego zachowanie i wielokrotnie przyprowadzała go do Rady Edukacji, sugerując, że powinny zostać podjęte pewne profilaktyczne działania. Nie zastosowano jednak takich środków. Było ku temu kilka powodów.

Po pierwsze, od ostatniego pojawienia się Bestii minęło osiemdziesiąt lat i wspomnienia o tamtym wydarzeniu w znacznej

części odeszły w niepamięć. Czujność mieszkańców została uśpiona. Po drugie, matką chłopca była powszechnie znana członkini rady dystryktu, do której należały w tamtym czasie wszystkie decyzje. Niezwykle trudno byłoby więc przekonać ich, aby dopuścili podjęcie jakichś radykalnych środków dotyczących uczniów. Po trzecie, zarządzający szkołami biurokraci prowadzili szeroko zakrojoną politykę spokoju za wszelką cenę. Biorąc pod uwagę całą naszą historię, można by zastanawiać się, czy w ogóle kiedykolwiek dominowało stanowisko różne od tego.

Wreszcie, po czwarte, nie istniał wtedy żaden skuteczny sposób na zaradzenie tamtej sytuacji.

Ostatecznie nie podjęto więc żadnych kroków poza skierowaniem K na regularną psychoterapię. Nie pozbyto się go i pozwolono mu dalej żyć, jedynie przyglądając się mu z boku.

W końcu, siedem miesięcy po rozpoczęciu nauki przez chłopca, nastąpiło to, co musiało się stać.

Tomiko spojrzała w sufit i westchnęła głęboko, po czym wstała, podeszła do niewielkiego kredensu i wyciągnęła zeń czajniczek i dwie filiżanki. Nalała do nich gorącą wodę z imbryka i przygotowała herbatę.

Sącząc aromatyczny napój, słuchałam dalszego ciągu jej opowieści.

Mówiąc szczerze, pozostało tylko kilka zapisków na temat tamtego wydarzenia. Szczegóły na temat przyczyn i początku incydentu pozostają prawie zupełnie nieznane. Co dało mu początek? Jaki był ciąg zdarzeń, który doprowadził do tak ogromnych zniszczeń? Możemy tylko snuć teorie; wiemy jednak, że to wszystko

naprawdę miało miejsce.. Ponad tysiąc ludzi straciło życie; takie są suche fakty.

Prawie pewne jest, że pierwszą ofiarą K była jego korepetytorka. Jej ciało było tak poranione, że gdy została znaleziona, ciężko było ustalić jej tożsamość. Następnie zginęło dwudziestu dwóch uczniów z klasy K a także kilkanaścioro drugo- i trzecioklasistów. Łącznie odnaleziono zmasakrowane ciała około pięćdziesięciu nastolatków...

K był prawdziwą Bestią. Zmienił się w jednego ze swoich prymitywnych przodków – potwora, nie posiadającego żadnej kontroli nad swoją agresją. Gdyby tego było mało, mechanizm śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, z którym powinien być się urodzić, z jakiegoś powodu nie działał. Statystyczna szansa na narodzenie się dziecka łączącego w sobie oba te zaburzenia wynosiła mniej niż jeden do trzech milionów. Innymi słowy, biorąc pod uwagę wielkość Kamisu 66, coś takiego było praktycznie niemożliwe. Jednak statystyka to tylko teoria.

Rodzina K musiała w pewnym stopniu zdawać sobie sprawę z jego skrzywień. Zwłaszcza jego matka najprawdopodobniej była ich świadoma już kiedy K był jeszcze dzieckiem. Gdy chłopiec był mały, wysyłała go na przeróżne terapie psychologiczne i behawioralne. Jedną z nich było coś, co nazwalibyśmy praniem mózgu. Być może z tego powodu w dzieciństwie jego krwiożercze instynkty były przytłumione.

Pytaniem bez odpowiedzi pozostaje, czy postąpiono słusznie. Do dziś podejrzewa się, że siłowa supresja jego brutalnych skłonności była przyczyną stresu, pod wpływem którego pozostawał.

Co jednak wydarzyło się tamtego feralnego dnia? Co spowodowało, że stracił panowanie nad sobą, lub, raczej, co było przyczyną pęknięcia jego ludzkiej powłoki i wydostania się na wolność uwięzionego w jej wnętrzu potwora?

Opierając się na wszystkich danych, jakie posiadamy na temat Bestii, wydaje się, że najważniejsze jest pierwsze morderstwo. Istniało wiele przypadków Bestii, które nie wpadły w szal zabijania. Koniec

końców, nawet bez kontroli ataku czy śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, ludzie wciąż potrafią logicznie stwierdzić, że morderstwo jest czymś złym.

Śmierć pierwszej ofiary najwyraźniej powoduje jednak przestawienie pewnego rodzaju przełącznika w ich umysłach, rozpoczynając niekończącą się serię zabójstw. Masakra kończy się dopiero, gdy Bestia umrze. Od tej reguły nie ma wyjątków.

K wyrwał nogi i ręce swojej nauczycielki, a następnie zmiażdżył jej głowę jak dojrzały owoc. Potem po kolei mordował przerażonych uczniów, uderzając nimi o ściany sali z taką siłą, że ich ciała zmieniły się w krwawą miazgę.

Wyglądało to jak scena z horroru. Na każde dziesięć osób, które pomagały po wszystkim w sprzątaniu szkoły, dziewięć cierpiało z powodu skrajnej postaci zespołu szoku pourazowego.

Bestia wyszła z klasy i wędrowała szkolnymi korytarzami w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Dzieci, które starały się uciec stawały się pierwszymi celami K. Pozostali uczniowie zostali uwięzieni w potrzasku – w efekcie część z nich została stratowana na śmierć, a na reszcie potwór urządził masową rzeź.

Nikt nie mógł obronić się przed Bestią. Wielu uczniów znacznie lepiej posługiwało się mocą, jednak ograniczała ich kontrola ataku i śmiertelne sprzężenie zwrotne... Innymi słowy, żaden człowiek nie był w stanie bezpośrednio zaatakować potwora.

Ponieważ sam K był pozbawiony kontroli ataku i nieświadomy jej istnienia, możliwe, że zabijał prewencyjnie, z czystego strachu przed odwetem.

Inna teoria mówi, że po prostu stracił kontrolę nad swoimi czynami, odurzony wydzielającymi się w jego mózgu endorfinami. Dlatego właśnie zespół Ramana-Klogiusa określa się też zespołem lisa w kurniku.

Zostając przy nazwie, nie nadano jej na cześć naukowców-odkrywców. Raman i Klogius to imiona dwojga dzieci, z których jedno pochodziło z Helsinek, a drugie – z Bombaju. To były

najokropniejsze Bestie w historii, które dokonały dziesiątek tysięcy morderstw. To one dały nazwę najpotworniejszej chorobie dręczącej ludzkość.

W porównaniu z masakrą, jakiej dokonała tamta dwójka, z rąk K zginęło ponad dziesięciokrotnie mniej osób. To nie znaczy jednak, że jego zabójstwa nie dorównywały tamtym brutalnością. W porównaniu z wielkimi miastami minionej ery, gęstość zaludnienia Kamisu 66 jest stosunkowo mała, więc, na szczęście – o ile w ogóle można mówić tu o szczęściu – liczba ofiar sięgnęła zaledwie tysiąca.

Był też ktoś jeszcze – osoba, która poświęciła się, żeby powstrzymać K. To jej wszystko zawdzięczamy.

Tomiko zrobiła małą przerwę, by wziąć łyżeczek swojej zimnej już herbaty. Byłam tak przytłoczona usłyszaną historią, że siedziałam na swej poduszce jak skamieniała, zapominając nawet oddychać.

To, co do tej pory powiedziała Tomiko było tak przerażające i smutne, że czułam wręcz fizyczne cierpienie, jednak mimo to nie mogłam doczekać się dalszego ciągu opowieści.

Nagle zastanowiło mnie, dlaczego właściwie chciała, żebym o tym wszystkim usłyszała. Może mówiła prawdę, twierdząc, że pewnego dnia ją zastąpię, a może był to jakiś kolejny sprawdzian.

Kiedy K zamordował już wszystkich uczniów, którzy nie zdołali ukryć się przed jego wzrokiem, opuścił pogrążoną w grobowej ciszy szkołę. Szedł ulicami wioski, jak gdyby nigdy nic. Tego dnia cudownie ocalała tylko jedna osoba, na którą padł wzrok K. Człowiek, który uniknął śmierci stwierdził później, że nie poczuł w tamtej chwili niczego niepokojącego. Widział po prostu niskiego chłopca idącego drogą; taką samą scenę można by było ujrzyć każdego innego dnia.

To, co stało się chwilę później było jednak całkowicie niewyobrażalne.

W stronę Bestii zmierzała grupka ludzi. To byli wracający z pracy na Farmach Lotosu rolnicy. Kiedy znaleźli się jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów od chłopca, klatka piersiowa idącego na czele pracownika eksplodowała, rozchlapując wkoło morze krwi.

Reszta grupy stała jak wryta wpatrując się w pokrywającą wszystko warstwę czerwonej, ciepłej mazi, kompletnie nie rozumiejąc, co się właśnie stało. Nie zwalniając kroku, K podszedł bliżej, po kolei zmieniając rolników w krwawe kawały mięsa.

K pomału oddalił się, znikając za zakrętem. Dwoje ludzi, którzy jako pierwsi uświadomili sobie, że dzieje się coś złego, zdołało znaleźć bezpieczną kryjówkę. Jeden z nich chciał uciekać i wołać o pomoc a drugi przyłgnął do ziemi, sparaliżowany strachem.

K się zatrzymał. Możliwe, że wyczuł, że się ukrywają i zapragnął wywabić ich ze schronienia. Gdy jeden z ludzi rzucił się do ucieczki, chłopiec skrzył mu kark tak niefrasobliwie, jakby zrywał z gałęzi dojrzwały owoc.

Bestia ruszyła w dalszą drogę, pozostawiając ocalałego świadka w stanie takiego szoku, że nie mógł on nawet drgnąć. Został uratowany następnego dnia, jednak po tym jak zmuszono go do odtworzenia widzianych wydarzeń, spędził resztę życia praktycznie jako roślina.

Wracałam myślami do tego wydarzenia więcej razy niż potrafię zliczyć. Mogę więc z całą pewnością powiedzieć, że K wpasowywał się idealnie w podręcznikową definicję Bestii.

Wcześniej wspomniałam, że umiejętności chłopca w zakresie korzystania z cantusu były w najlepszym przypadku przeciętne. Jeden z komentarzy w ocalałej dokumentacji na temat chłopca stwierdzał, że „brakuje mu wyobraźni i kreatywności”. Jeśli chodzi o finezję w używaniu mocy do mordowania, był jednak geniuszem.

Najpewniej takie określenie jest trochę nieadekwatne, lecz pomysłowością, jaką wykazał się, realizując swój plan zniszczenia, przyćmił wszystkie pozostałe Bestie. Wydaje się, że od początku zamierzał zniszczyć całą wioskę.

Zaczął od burzenia budynków i tamowania kanałów. Następnie podłożył ogień w kilku miejscach i odciął wszystkie drogi ucieczki poza jedną. Kiedy te przygotowania dobiegły końca, rozpoczęła się rzeź.

Ludzie biegali w popłochu, próbując uciekać; nie mieli pojęcia, że znajdują się w przygotowanym przez K potrzasku.

Gdyby mieszkańcy się rozproszyli, próbując przedostać się przez gruzy i zgliszcza z różnych stron, spora część z nich mogłaby ująć z życiem. Nikt jednak nie ocalał. W panice wszyscy zaczęli biec w tym samym kierunku. To typowe dla psychologii tłumu. Wybrali pierwszą pustą drogę, którą zobaczyli.

Ścieżka wywiodła ich do lasu, którego gęste zarośla dawały złudne poczucie bezpieczeństwa. Biorąc pod uwagę, że ścigał ich posługujący się cantusem potwór, nie różniło się to jednak niczym od samobójstwa.

Kiedy chłopiec upewnił się, że wszyscy mieszkańcy znaleźli się między drzewami, stworzył ognisty krąg opasający las, zamykając ofiary w pułapce. Płomienie zaczęły się rozprzestrzeniać a pierścień powoli się zaciskał. Demoniczna natura K. nie pozwoliła mu jednak na zwyczajne spalenie żywcem wszystkich ofiar. Zamiast tego stworzył prześwit między płonącymi drzewami.

Mieszkańcy nie mieli innego wyboru; wybrali wiodącą ku śmierci ścieżkę, jak myszy uwięzione w labiryncie.

– I jak? Chcesz, żebym mówiła dalej?

Zawahałam się przez krótką chwilę po czym skinęłam twierdząco głową.

- Samo słuchanie o tym napawa cię odrazą, prawda? Widzę to po twojej twarzy. Czemu chcesz kontynuować?
- Po prostu pragnę się dowiedzieć jak powstrzymano K.
- W porządku. – Tomiko uśmiechnęła się nieznacznie.

Po zamordowaniu ostatniej z uwięzionych w lesie osób, chłopiec powrócił do wioski. Wędrował ulicami, wypatrując ocalałych i zabijając ich po kolei jak w transie. Zaczynała się zima, a K najwyraźniej zapomniiał się ciepło ubrać. W środku nocy uświadomił sobie, że mocno się przeziębił.

Miejszem do którego postanowił się udać, był na wpół zniszczony miejski szpital. Z pewnością nie spodziewał się, że zastanie tam jakichś lekarzy. Prawdopodobnie chciał tylko poszukać lekarstw. Okazało się jednak, że jeden z lekarzy nie opuścił swojego miejsca pracy i próbował rozpaczliwie ratować nielicznych ocalałych, którzy znajdowali się na granicy śmierci. Tamten człowiek, doktor Tsuchida, ocalił dystrykt. Złożyło się tak, że ja również tam byłam; dlatego znam całą historię.

Zdziwiona? Byłam wtedy pielęgniarką. Gdy zjawił się K, w szpitalu oprócz mnie i doktora Tsuchidy przebywało jedynie kilkoro poważnie rannych i chorych pacjentów.

Wystarczyło jedno spojrzenie by rozpoznać w chłopcu Bestię. Jego oczy były... inne. Zdawały się wywrócone na drugą stronę, jednak nie mam tu na myśli tak zwanych sanpaku.¹ Były wywinięte tak mocno, że w ogóle nie dało się zobaczyć tęczówek. Zastanawiałam się, czy on w ogóle coś widzi. Jego oczy były całkowicie pozbawione światła.

¹ Sanpaku (三白) – jap. „trzy białka” - Termin określający charakterystyczny wygląd oczu, gdy ich białka są widoczne powyżej lub poniżej tęczówki. Według tradycyjnej chińskiej sztuki czytania z twarzy, twardówka widoczna w dolnej części oka była powiązana z nierównowagą fizyczną (alkoholizm, lekomania, nadmierne spożycie cukru), natomiast w górnej – wskazywała na niestabilność emocjonalną, mentalną (mordercy, osoby cierpiące z powodu psychoz, stresu, przemęczenia). Do znanych osób z oczami sanpaku należał m.in. prezydent USA [John Kennedy](#).

Włosy chłopca były przetluszczone i skołtunione, a skóra – usiana plamami. Kiedy uświadomiłam sobie, że jest to spowodowane pokrywającą go od stóp do głów krwią, nogi zaczęły mi drżeć i odmawiać posłuszeństwa.

K przeszedł obok mnie w milczeniu i udał się do gabinetu lekarskiego. Bez żadnych wyjaśnień ani pogroźek oznajmił, że się przeziębił i chce dostać lek. Nie mogłam zobaczyć doktora Tsuchidy, ale usłyszałam, jak prosi chłopca, żeby usiadł.

Weszłam do pokoju mimo, że nie zostałam poproszona; czułam, że nie mogę zostawić tam doktora samego. Zmierzył mnie wzrokiem, ale nic nie powiedział. Poleciał K, by ten otworzył usta, po czym zbadał gardło chłopca. Miało żywoczerwoną barwę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Musiał naprawdę cierpieć. Do tego miał gorączkę i cały czas wstrząsały nim dreszcze, jakby bardzo mocno przemarzł.

Nie jestem do końca pewna czy to rzeczywiście było przeziębienie. Po zamordowaniu tak wielu osób, musiał nawdychać się ogromnej ilości oparów rozchlapującej się dokoła krwi. Jego objawy mogły być równie dobrze jakimś rodzajem reakcji alergicznej. Gdyby tak było w istocie, można by powiedzieć, że ofiary K zemściły się na nim z zaświatów.

Doktor Tsuchida wysmarował gardło chłopca płynem Lugola, a następnie polecił mi, żebym udała się do najodleglejszego magazynku po antybiotyki. Myśl, że chce użyć drogocennych leków żeby pomóc Bestii napawała mnie wstrętem, lecz posłuchałam go i poszłam poszukać penicyliny. Zużyliśmy większą część zapasów na rannych mieszkańców, więc musiałam poświęcić trochę czasu na przeszukanie stosu lekarstw przeznaczonych do utylizacji z powodu zbliżającego się terminu ważności.

Z tego powodu nie byłam naocznym świadkiem tego, co się stało. Pozostałe dowody nie pozostawiają jednak śladu wątpliwości na temat tego, co zaszło w gabinecie.

Doktor Tsuchida otworzył podręczną apteczkę, wyjął z niej tabletki z chlorkiem potasu i rozpuścił parokrotność śmiertelnej dawki substancji w destylowanej wodzie. Następnie, udając, że to lek na przeziębienie, wstrzyknął płyn w ramię K.

Nagle rozległ się przerażający krzyk, sprawiając, że upuściłam pudełko z antybiotykami, które dopiero co udało mi się znaleźć. Pobiełam w kierunku gabinetu lekarza.

Gdy byłam już prawie przy drzwiach, usłyszałam jak coś eksploduje z hukiem. Wpadłam do pokoju i ujrzałam, że całe pomieszczenie jest koloru głębokiej czerwieni. K rozerwał na kawałeczki głowę doktora Tsuchidy.

Przeraźliwy krzyk nie ustawał. K był szarpany śmiertelnymi konwulsjami, lecz nie chciał umrzeć. Wrzeszczał jak opętany. Z czasem jednak krzyki zaczęły cichnąć i przeistoczyły się w dziecięcy szloch.

Potem nastąpiła cisza.

Tomiko skończyła mówić i wlepiła wzrok w dno swojej filiżanki.

Powinna mieć do niej milion pytań, lecz nie byłam w stanie wydusić ani słowa.

– Potrzebna była ogromna wytrwałość i długi czas, żeby dystrykt pozbierał się po ataku Bestii. Pierwszą rzeczą jaką zrobiliśmy, było wyeliminowanie całego rodu K.

– Wyeliminowaliście cały ród...? – powtórzyłam.

– Brak kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego u K były poważnymi zaburzeniami genetycznymi. Istniało ogromne ryzyko, że wszystkie spokrewnione z nim osoby są nosicielami takich samych, wadliwych genów. Dlatego prześledziliśmy jego drzewo rodowe do pięciu pokoleń wstecz i pozbyliśmy się wszystkich żyjących członków jego rodziny. Proszę, nie myl tego z zemstą.

Musieliśmy to zrobić, ponieważ nie mogliśmy ryzykować narodzin kolejnej Bestii.

– Ale jak ich wyeliminowaliście...? – Moje ręce lekko zadrżały.

– Cóż, skoro powiedziałam ci już tak dużo, nie ma sensu tego ukrywać. Wykorzystaliśmy dziwoszczury. Utworzyliśmy oddział składający się z czterdziestu żołnierzy z najbardziej lojalnej kolonii. Uzbroidliśmy je i nakazaliśmy zamordowanie krewnych chłopca w środku nocy. Gdyby ci ludzie się o tym dowiedzieli, bez żadnych trudności pozbyliby się dziwoszczurów, więc plan został opracowany w największym sekrecie. Nawet pomimo tego ponad połowa żołnierzy poniosła śmierć, jednak, jako że po zakończeniu misji i tak musiałyby zostać zabite, można powiedzieć, że odnieśliśmy pełen sukces – powiedziała Tomiko zdawkowo, jakby opowiadała o wspólnym sprzątnięciu wioski. – To jednak nie wystarczyło. Mimo, że krew K nie płynęła już w żyłach mieszkańców, nie było żadnej gwarancji, że Bestia nie pojawi się po raz kolejny. Z tego powodu musieliśmy całkowicie zrewolucjonizować system edukacji. Szkoła Przywództwa została zamknięta a na jej miejscu utworzono Akademię Mędrców, gdzie skupiano się na indywidualnych zdolnościach każdego z uczniów. Rada Edukacji otrzymała rozszerzone uprawnienia i stała się podległa tylko i wyłącznie Komisji Etyki. Wreszcie, fragment Kodeksu Etyki został napisany od nowa, przesuważąc granicę nabywania podstawowych praw człowieka.

– Co ma pani na myśli?

Tomiko ponownie napełniła czajniczek i przygotowała dwie kolejne porcje herbaty.

– Zgodnie z postanowieniami poprzedniej wersji Kodeksu, za człowieka uznawano płód w dwudziestym drugim tygodniu od poczęcia. Taki termin został ustalony żeby jasno określić moment, do którego dozwolona była aborcja. Według nowego Kodeksu Etyki, dzieci nie mają praw człowieka aż do ukończenia siedemnastego roku życia. Oznacza to, że Rada Edukacji ma prawo zdecydować o pozbyciu się dowolnej osoby do chwili jej siedemnastych urodzin.

Nie potrafię nawet opisać wstrząsu, jakiego doznałam, dowiadując się że w świetle obowiązujących praw nie jestem uznawana za człowieka, tak samo jak na wpół rozwinięty płód. Nigdy nam o tym nie mówiono w Szkole Harmonii ani w Akademii Mędrców. Właściwie to należy zacząć od tego, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by pytać się o wiek, w którym nabywa się podstawowe prawa, lub czy przekroczyłam już tę granicę.

– Metoda wymazywania również została udoskonalona. Niezależnie od tego, jak bardzo lojalne są dziwoszczury, pozwalanie tak inteligentnym stworzeniom zabijać ludzi było równoznaczne z proszeniem się o kłopoty w przyszłości. Dlatego przeprowadziliśmy wspomagany cantusem selektywny rozród zwykłych, domowych kotów, tworząc w ten sposób nową rasę – przeklęte koty.

Przeklęte koty... To wyrażenie z jakiegoś powodu wzbudziło we mnie ogromne emocje, które najwyraźniej tłumiałam przez długi czas. Strach. I smutek.

– Po tym, jak podjęliśmy wszystkie te kroki, mające na celu prewencyjne pozbywanie się potencjalnych zagrożeń, nie pojawiło się więcej Bestii. Wydarzył się jednak inny, przerażający incydent. Pamiętam to dość dobrze, ponieważ było to zaledwie dwadzieścia lat temu. – Tomiko opróżniła filiżankę jednym łykiem i zaczęła opowiadać kolejną historię.

Niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą wyciek mocy zostało odkryte już u schyłku starożytnej cywilizacji. Jednakże, te destrukcyjne wycieki, zwane złym rozlewem, przez długi czas były ignorowane i niedoceniane. W najgorszych przypadkach powodowały nieprawidłowości w funkcjonowaniu delikatnej maszynerii, albo nieznaczne zniekształcenia różnych przedmiotów; nigdy jednak nie myślano, że mogą stanowić jakieś zagrożenie dla ludzi bądź zwierząt. Prawda jest jednak taka, że ono prawie zawsze istniało.

Nadszedł dzień, kiedy pewna dziewczyna, Izumi Kutegawa, udowodniła nam wszystkim, jak bardzo się mylimy. Jej cantus przenikał i skażał wszystko wokół niej, tak samo jak promieniowanie. Była jedynaczką, mieszkającą na farmie w pobliżu Złocistej Wioski. Kiedy wkroczyła w wiek dojrzewania i przyszło do niej Błogosławieństwo, żyjące w gospodarstwie zwierzęta zaczęły wydawać potomstwo obarczone nienaturalnie dużą liczbą wad, a większość plonów uschła. Na początku podejrzewaliśmy, że te zmiany są spowodowane przez jakiś nowy rodzaj wirusa.

Nawet w Akademii Mędrców wszystkie obiekty jakie znalazły się w promieniu dziesięciu metrów od Izumi zaczynały się deformować. Ławki i krzesła po kilku dniach nie nadawały się już do użytku. Ściany i podłogi również zaczęły się odkształcać; pojawiły się na nich wielkie wybrzuszone pęcherze i pokryły się nitkowatą pleśnią. Przypominało to wizję z koszmaru.

Komisja Etyki i Rada Edukacji utworzyły zespół specjalistów, którzy mieli zbadać zaistniałą sytuację. Kiedy dowiedziono, że zły wyciek, którego źródłem była dziewczyna, jest w stanie uszkodzić nawet ludzkie DNA, wybuchło zamieszanie. Nakazano jej, by nie przychodziła już do szkoły i uczyła się w domu, jednak niedługo później zasięg działania jej wycieku urósł do niewyobrażalnych rozmiarów. Tryby zegara na oddalonej o sześć kilometrów wieży powykrzywiały się tak mocno, że przestał chodzić.

Zwołaliśmy zebranie i doszliśmy do wniosku, że Izumi choruje na zespół Hashimoto-Appelbauma, w związku z czym, jako karmiczny demon, musi zostać usunięta. Jako przewodnicząca Komisji chciałam poinformować ją o tym osobiście, lecz zbliżanie się do niej było w tamtym momencie już zbyt niebezpieczne. Napisałam więc do niej list i dostarczyłam go do dziewczyny za pośrednictwem lalki karakuri.¹

¹ Za wikipedią: Karakuri-ningyō (jap. からくり人形?) – mechaniczne lalki lub automaty tworzone w Japonii od XVIII w. do XIX w. De facto były pierwszymi, japońskimi robotami.

To wspomnienie nadal sprawia mi ból. Izumi była niezwykle miłą i delikatną dziewczyną. Niestety, jak pokazuje historia, to właśnie takie osoby są najbardziej zagrożone przeistoczeniem się w karmicznego demona.

Kiedy tylko dowiedziała się, że z jej powodu życie wielu osób znalazło się w niebezpieczeństwie, sama zaproponowała, by się jej pozbyć.

Farma Kutegawa była epicentrum złego rozlewu, więc w jej okolicy nie przetrwał żaden żywy organizm. Powiedzieliśmy Izumi, że jej rodzice i wszyscy pracownicy farmy zdołali uciec od zagrożenia, lecz prawda była taka, że w tamtym momencie byli już martwi, zabici przez dziwną chorobę, która spowodowała uogólnione włóknienie tkanek.

Kiedy po raz ostatni widziałam budynki farmy, przeistoczyły się one już w coś przypominającego ogromną amebę, pochłaniającą wszystko, z czym się stykała.

Lalka karakuri dostarczyła pięć pigułek do niewielkiego budynku na uboczu farmy, który nie uległ jeszcze całkowitemu rozpadowi. Powiedzieliśmy Izumi, że kapsułki zawierają środki uspokajające, które pomogą jej kontrolować zły rozlew. Tylko jedna z tabletek była zabójcza. Poprosiliśmy ją, żeby brała jedną kapsułkę dziennie.

Izumi połknęła wszystkie pięć pigułek naraz. Była mądrą dziewczyną i przejrzała nasz plan. Prawdopodobnie obawiała się, że jej wyciekający cantus może zneutralizować zawartą w leku truciznę...

Łzy spływały strużką po moich policzkach.

Sama nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Pomimo, że nigdy nie spotkałam Izumi, współczułam jej z głębi serca. To jednak nie było wszystko.

Wstrząsające mną emocje były tak silne, że czułam się jak niewielka tratwa, miotana falami podczas potężnego sztormu. Łzy nie przestawały kapać z moich oczu.

– Rozumiem, jak się teraz czujesz – powiedziała Tomiko. – Płacz, jeśli musisz. Nie ma w tym nic złego.

– Dlaczego...? Dlaczego to jest takie smutne? – spytałam.

Tomiko pokręciła głową. – Nie mogę jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Jednakże, jeśli chcemy stawić czoła rozpaczce, musimy dać sobie czas na łzy. Tylko wtedy możemy ją zaakceptować i przezwyciężyć. Musisz mieć szansę się wypłakać.

– Czy to ma coś wspólnego ze wspomnieniami, które nam odebraliście?

– Tak, nie mylisz się.

Pomyślałam o chłopcu bez twarzy.

– Proszę, przywróć mi je!

– Nie mogę tego zrobić. – Na twarzy Tomiko zagościł smutny uśmiech. – Tu nie chodzi tylko o twoje wspomnienia. Każda wzmianka o tamtym chłopcu została wymazana, włączając w to nawet wpisy z pamiętnika Marii Akizuki. Tamten incydent był po prostu zbyt przerażający. Obawialiśmy się, że pozostawienie jakichkolwiek wspomnień może spowodować traumę wystarczająco silną by zdestabilizować umysły mieszkańców wioski. Efekt domina doprowadziłby do kolejnych tragedii...

Przez oblicze kobiety przemknął cień.

– Ty byłąbyś w stanie to znieść. Jednakże, jeśli przywrócę ci pamięć nie dasz rady utrzymać tego w sekrecie przed przyjaciółmi. Ostatecznie wszyscy dowiedzą się o tamtym incydencie.

– A-ale...

– Proszę, przemyśl to, co ci powiedziałam. Łańcuch jest tylko tak wytrzymały, jak jego najsłabsze ogniwo. Najwięcej uwagi i troski musimy poświęcić najsłabszym z nas.

– Najsłabszym...?

Tomiko zmierzwiła przyjaźnie moje włosy.

– Nie żartowałam, mówiąc, że chcę, żebyś mnie zastąpiła. Kiedy nadejdzie ta chwila, odzyskasz wszystkie swoje wspomnienia.

– Nigdy nie będę w stanie pani zastąpić.

Niezależnie od tego jak wysoki był mój indeks osobowości, czułam, że po prostu nie jestem wystarczająco silna.

– Doskonale cię rozumiem. Kiedyś myślałam tak samo. Przyjdzie jednak taki czas, że będziesz musiała zrobić, to co konieczne. Tylko ty dasz radę podołać temu zadaniu. Rozumiesz? Pamiętaj, co musimy robić, by nie pozwolić na ponowne pojawienie się Bestii i karmicznych demonów.

Echo słów Tomiko dudniło głośno w mojej piersi.

Rozdział 3

Pewnego chłodnego dnia w środku lutego, Mamoru uciekł z domu.

Kiedy jego ojciec poszedł rannem go obudzić po tym jak napalił w piecu, nie zauważył niczego niepokojącego. Gdy jednak Mamoru nie zszedł na śniadanie, mężczyzna wrócił na górę, żeby sprawdzić czy wszystko w porządku. Został tam jedynie pusty pokój.

Na biurku leżała kartka z krótką notką, która głosiła po prostu: „Nie szukajcie mnie”. To właśnie taką – trzeba przyznać, że niezwykle absurdalną – wiadomość najczęściej zostawiają za sobą uciekinierzy.

– Co powinniśmy zrobić? – spytała Maria, bliska płaczu. Jej oddech tworzył na mrozie biały obłoczek. Śnieg pokrył białą warstwą jej czapkę, a na rzesach utworzyły się małe sopelki.

Maria i Mamoru mieszkali na przeciwległych krańcach dystryktu, jednak wiedziałam, że spotykają się każdego poranka, żeby razem udać się do szkoły. Tego ranka, zmęczona czekaniem Maria postanowiła udać się do domu Mamoru. Kiedy od odchodzącego od zmysłów ojca chłopca usłyszała, co się stało, poprosiła go by nie mówił o tym nikomu innemu, po czym natychmiast przyszła się ze mną zobaczyć.

– Czy to nie oczywiste? Poszukamy go.

Zdażyłam już odwiązać swój stojący przy pomoście kajak. Gdyby Maria przybyła chwilę później, rozminęłybyśmy się.

– Zabierzmy Satoru i ruszmy po śladach Mamoru.

– Ale czy to nie będzie podejrzane, jeśli cała pierwsza grupa nie przyjdzie dziś na lekcje?

Pomimo, że Ryou oficjalnie był w naszej drużynie, większość czasu spędzał zazwyczaj z członkami grupy drugiej. Maria miała rację. Gdybyśmy wszyscy nie zjawili się w szkole, narazilibyśmy się na masę niewygodnych pytań.

– W porządku. Na razie chodźmy na zajęcia. Na trzeciej i czwartej lekcji i tak mamy niezależne obserwacje, prawda? Wtedy się wymkniemy.

Ponieważ była sobota, lekcje odbywały się tylko do południa.

– Ale nie damy rady wrócić na godzinę wychowawczą.

– Później pomyślimy nad wymówką. Na szczęście mamy po swojej stronie genialnego łgarza. Tak czy siak, nie mamy możliwości rozpoczęcia poszukiwań wcześniej niż na trzeciej lekcji.

Zanim zaczęła się zima, przewidywano, że będzie ona dość łagodna, jednak pod koniec stycznia z nad kontynentu nadpłynął zimny front i temperatura spadła do rekordowo niskich wartości. Poprzedniej nocy napadało tak dużo śniegu, że cała wioska przykryta była grubą, białą pierzyną. Nie miałam pojęcia, dokąd mógł uciec Mamoru, ale na wszelki wypadek zapakowałam do łódki swoje narty.

Dotarłam do Akademii Mędrców tuż przed rozpoczęciem lekcji i zdołałam wśliznąć się na swoje miejsce niezauważona przez Słonecznego Księciunia. Kiedy powiedziałyśmy z Marią, że Mamoru się przeziębił i został w domu, również nie wydawało nam się, żeby zauważył coś podejrzanego.

Temat pierwszej lekcji brzmiał: „Społeczeństwo i logika”. To była koszmarnie nudna godzina. Z całych sił starałyśmy się ukryć oznaki naszego zniecierpliwienia i modliłyśmy się, żeby czas zaczął płynąć szybciej. Gdy tylko zabrzmiał kończący lekcje dzwonek, dopadłyśmy do Satoru i opowiedziałyśmy mu o wszystkim.

Drugą lekcją była matematyka, która zawsze przyprawiała mnie o ból głowy. Teraz w klasie siedziało przynajmniej trzech rozdrażnionych uczniów.

W końcu dotrwaliśmy do długo oczekiwanych dwóch godzin, które mieliśmy poświęcić na niezależne obserwacje. Pozwolono nam opuszczać teren szkoły gdyby okazało się to konieczne. Gdy cała nasza trójka wypadła pędem z sali, natknęliśmy się na pierwszą przeszkodę.

– Hej, dokąd wszyscy idziecie? – spytał Ryou Satoru, unikając mojego wzroku.

– Przecież mamy teraz czas na dowolne obserwacje, prawda? – odparł Satoru, wzruszając ramionami.

– Właśnie dlatego się pytam. Jesteśmy w końcu w jednej grupie, zapomnieliście?

– Ale zazwyczaj trzymasz się z drugą grupą, nie? – rzuciła zniecierpliwiona Maria.

– Może i tak, lecz oficjalnie należę do grupy pierwszej. A tak w ogóle, kiedyś trzymaliśmy się razem. Nie rozumiem czemu teraz nie... – Ryou wydawał się trochę skonfundowany przez niespójność swoich wspomnień.

– No tak, jasne. Wybacz, nie wspominaliśmy ci o tym wcześniej. – Satoru poklepał go po przyjacielsku w plecy. W tym geście nie było jednak żadnej intymności. Trudno było uwierzyć, że tych dwoje mogło być kiedyś kochankami.

– Już wcześniej ustaliliśmy temat naszej obserwacji, ale nie było cię w pobliżu, więc nic o tym nie wiesz. Zamierzamy przyjrzeć się wzorom, jakie tworzą lodowe kryształy w płatkach śniegu.

– Płatki śniegu? Dlaczego? To dobre dla dzieci. Robiliśmy coś takiego podczas ferii zimowych w Szkole Przyjaźni.

Mimo tego, że Ryou był naszym przyjacielem już w dzieciństwie, nie chodził ze mną i Satoru do Szkoły Harmonii. Zamiast tego uczęszczał do Szkoły Przyjaźni razem z Mamoru.

– Chcemy zbadać zmiany, jakie w nich zachodzą po użyciu na nich cantusu. Już podzieliliśmy się obowiązkami. Mógłbyś zająć się terenem na tyłach szkoły?

– Co dokładnie obserwujemy?

– Najpierw będziemy oglądać płatki przez szkło powiększające i naszkicujemy je. Potrzebne jest przynajmniej sto różnych. Później podzielimy je pod względem kształtu na dwie duże kategorie. Na końcu wybierzemy kilka wzorów i spróbujemy przekopiować je na inne płatki śniegu.

– Ale czy to nie jest tak, że gdy lodowy kryształ raz się ustabilizuje, nie może już zmienić formy? – zapytał Ryou z powątpiewaniem.

– No właśnie! Dokładnie to chcemy zbadać – odparł szybko Satoru. – Większość ze stałych ciał jest pewnego rodzaju kryształem, prawda? Więc jeśli można zmienić kształt kryształu wody bez roztapiania go, może to oznaczać, że da się też zmieniać formę innych przedmiotów dużo łatwiej niż nam się wydaje.

– Hmm... – zamyślił się Ryou.

Najwyraźniej nie był odporny na wymyślane przez Satoru bzdury i dał się nabrać na jego wyjaśnienia. Połknął haczyk razem z wędką. Nie mogło być mowy o tym, by kiedykolwiek był naszym bliskim przyjacielem.

– Rozumiem. Więc chcecie, żebym sprawdził śnieg za szkołą?

– Tak, jeśli możesz. My zajmiemy się terenem przy frontowym wejściu. Och, jeszcze coś. Kiedy już zaczniesz obserwację, nie możesz przerwać w połowie. Jeśli to zrobisz, będziesz musiał zacząć od początku.

– W porządku – powiedział, odchodząc

– Jesteś okropny, wiesz? – skomentowałam go z głębi serca.

– No co? To był najlepszy sposób.

Zuchwale opuściliśmy teren szkoły, udając się do przystani. Lekko prószył śnieg, a lodowaty wiatr szczypał nieosłonięte czapką części moich uszu.

Satoru musiał wrócić do domu po trochę narzędzi, natomiast Maria i ja wsiadłyśmy do Hakurena 4 i odpłynęliśmy w stronę domu Mamoru. Powietrze było jeszcze zimniejsze niż woda w kanale, więc otoczyły nas obłoczki pary. W niektórych miejscach zalegały spore fragmenty kry, które musiałyśmy rozbijać, używając mocy. Kawałki lodu odbijały się od burty kajaku, przez co czułam się, jakbym sterowała lodołamaczem przemierzającym Ocean Arktyczny.

– Masz jakieś pomysły, dokąd mógł uciec Mamoru – zapytałam.

Maria zamyśliła się na kilka chwil.

– Nic nie przychodzi mi do głowy... Ostatnio wydawał się troszkę przybity.

Szczerze mówiąc, ja też odniosłam takie wrażenie.

– Czemu? Czy coś się stało?

– Nie, nic poważnego. Myślę, że poza mną nikt niczego nawet nie zauważył.

– Opowiedz o tym.

– Zupełnie nie mógł poradzić sobie z jednym zadaniem. Nie powinno mu ono sprawiać problemów, ale Mamoru jest takim pesymistą, że gdy raz pomyśli, że mu się nie uda, rzeczywiście idzie mu beznadziejnie.

– I to wszystko?

Czyżby uciekł z domu z tak błahego powodu?

– Nie. Myślę, że Słoneczny Księżcunio udzielił mu reprimendy... Później, gdy zażartowałam, że powinien uważać, bo mogli wysłać po niego zmyłkota, zbladł jak papier. Najwyraźniej wziął to na serio.

Jeśli to była prawda, ja też byłam częściowo odpowiedzialna za to, co się stało. Wspominanie o znikających ze szkoły uczniach nie było prawdopodobnie dobrym pomysłem.

Maria i Tomiko miały rację, mówiąc, że Mamoru jest znacznie słabszy ode mnie. Nagle przypomniało mi się zdanie, które sprawiło, że zjeżyły mi się włoski na karku.

– Łańcuch jest tylko tak wytrzymały, jak jego najslabsze ogniwo...

– Co mówiłaś? – spytała Maria lekko podejrzliwym tonem.

Odparłam, że nic takiego, próbując poskładać do kupy poplątane myśli. Przed chwilą coś przerażającego przemknęło mi przez głowę. Nie miałam jednak pojęcia, co dokładnie mnie tak wystraszyło; nie mogłam uchwycić tej ulotnej koncepcji.

Dębowy Gaj leżał na zachodnich krańcach dystryktu. Tej zimy wioska znalazła się na drodze wiejących znad rzeki wiatrów, więc

było w niej nieznośnie zimno. Zanim jeszcze tam dotarliśmy, cała moja twarz zeszywniała na lodowatym powietrzu.

Przywiązałam Hakurena 4 do pała, zarzuciłam plecak i nałożyłam narty, które przypominały krzyżówkę tradycyjnych, okrągłych rakiet śnieżnych z nartami do telemarku. Na ich spodniej stronie znajdowały się cienkie, zakrzywione kolce, które ułatwiały hamowanie, gdy wykonało się ruch piętą do tyłu. Dzięki temu można było też chodzić po płaskiej powierzchni. Pochylając się w przód z rozchyłonymi nogami i odpychając, wykorzystując cantus, mogłam także ślizgać się jak na łyżwach. Takim sposobem jazda pod górę z dowolną szybkością również nie sprawiała żadnych trudności. Zjeżdżanie z górki nie różniło się natomiast niczym od jazdy na zwyczajnych nartach.

Maria, która miała na sobie zwykle buty, unosiła się w powietrzu jak duch.

Kiedy dotarliśmy do domu Mamoru, obeszlęśmy cały budynek w poszukiwaniu śladów stóp. Przynajmniej do tego mógł się przydać cały ten śnieg.

– Hej, chyba coś mam!

Nie znalazłam co prawda odcisków butów, a ślady pozostawione przez płozy sań. Sądząc po ich rozstawie, musiały je pozostawić dziecięce sanki.

– Mamoru nigdy nie potrafił dobrze jeździć na nartach. Tak właściwie to ledwo się na nich poruszał.

– Wygląda na to, że odkopał sanki, których używał jeszcze w Szkole Przyjaźni. Spójrz, jak głębokie są te ślady. Musiał zabrać ze sobą bagaż.

Ucieczka na niewielkich, obładowanych tobołami sankach nie wydawała się mądrym planem, lecz Mamoru z pewnością mógł zrobić coś takiego.

Po chwili ujrzałam kajak Satoru, płynący w naszą stronę z zawrotną szybkością.

– Przepraszam, że musiałyście czekać. W którą stronę idziemy?

Był już ubrany w podróżny strój i w pełni wyekwipowany. Jego narty były szersze od moich, co znaczyło, że musi użyć większej siły, żeby wprawić je w ruch, lecz z drugiej strony mógł dzięki temu ślizgać się na nich także po wodzie.

Podążyliśmy śladem pozostawionym przez sanki. Mamoru miał nad nami ponadtrzygodzinną przewagę, jednak nie mógł zbyt mocno się oddalić, gdyż jego wyładowane po brzegi sanie wywróciłyby się przy większej prędkości. Jeżeli dodatkowo robił przerwy, żeby zorientować się dokąd idzie, mógł wyprzedzać nas maksymalnie o dwie godziny.

Odciski płóz rozpoczynały się przy tylnych drzwiach domu Mamoru i przez dłuższy kawałek drogi biegły na wprost. W pewnym momencie skręciły w prawo, w stronę szczytu niewielkiego wzgórza.

– Najwyraźniej próbował znaleźć jakąś ścieżkę, której zazwyczaj nikt nie używa – zauważył Satoru.

– Ale nawet nie pomyślał, żeby zatrzeć ślady. To dla niego takie typowe... – westchnęła unosząca się za naszymi plecami Maria.

– Dlaczego nie popłynął kajakiem? – spytałam.

Zastanawiało mnie to od samego początku. Łódka była szybsza, pojemniejsza i był z nią bardziej obyty.

– Może nie chciał, żeby ktoś go zobaczył?

Przypuszczalnie rzeczywiście taki był główny powód. Mogło to jednak oznaczać coś jeszcze. Podróż kanałami była prostsza, ale oznaczała też ułatwione zadanie dla ewentualnego pościgu. Prawdopodobnie Mamoru miał zamiar przedostać się poza Świętą Barierę i ukryć w górach.

Śnieg, który nie padał już od dobrej godziny, ponownie zaczął lekko prószyć. Zwiększyliśmy tempo. Satoru i ja jechaliśmy na nartach po obu stronach śladu zostawionego przez sanki, podczas gdy Maria trzymała się z tyłu, poruszając się czterdziesto- lub pięćdziesięciometrowymi łagodnymi susami. Było to łatwiejsze niż nieprzerwana lewitacja.

– Stójcie! – krzyknęła Maria.

Zatrzymaliśmy się.

– Co się stało? – spytałam, cofając się powoli.

Maria stała jakieś cztery czy pięć metrów od wyżłobienia zostawionego przez sanki, wpatrując się w śnieg.

– Spójrzcie. Co o tym myślicie? – spytała, wskazując na kilka śladów stóp.

Długością przypominały ludzkie, ale były zdecydowanie zbyt wąskie. Nie mógł ich pozostawić także niedźwiedź ani mała. Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że najbardziej przypominają odciski łap królika. Były jednak zbyt długie, a stworzenie, które je pozostawiło stawiało kroki naprzemiennie, podobnie jak ludzie, w przeciwieństwie do królików, poruszających się za pomocą skoków.

– To mogły być dziwoszczury... – zauważył zdyszany Satoru, wychylając się nad moim ramieniem.

– Co one by tu robiły?

– Skąd mam wiedzieć? Może polują.

– Polują? – Ponownie spojrzałam na odciski stóp i nagle poczułam, że ogarnia nie wyjątkowo nieprzyjemne uczucie. – To niedobrze.

– Dlaczego?

– Nie widzicie? Cały czas biegają równolegle do śladów sań.

Niezależnie jak długo się nad tym zastanawiałam, nie potrafiłam znaleźć żadnego sensownego powodu, dla którego miałyby śledzić Mamoru.

Dwie pary śladów wiodły coraz dalej i dalej na odludzie. Ciężko było je wypatrzyć spod warstwy świeżego śniegu. W końcu dotarliśmy do stóp stromego zbocza, wyglądającego raczej na wzgórze niż na śnieżną zaspę.

– Pokonanie takiego wzniesienia na dziecięcych sankach to niezły wyczyn – powiedział Satoru z uznaniem.

– Nigdy nie spodziewałabym się, że ktoś taki jak Mamoru może być na tyle odważny.

Istniała też inna możliwość. Jeżeli ścigało go coś jeszcze groźniejszego, mógł wdrapać się na szczyt bez chwili zastanowienia nad tym, co robi.

Weszliśmy na górę, podążając za śladami. Wiatr wywiał jednak ze stoku cały świeży śnieg, pozostawiając jedynie jego dolną, zbryloną warstwę, na której nasze narty rozjeżdżały się niebezpiecznie na boki. Kilukrotnie niewiele brakło, byśmy się przewrócili. Gdybym nie wspomagała się cantusem, zapewne już po kilku krokach wywróciłabym się w tył i stoczyła z powrotem na dół.

Wzniesienie wydawało się nie mieć końca. Dolina, którą za sobą zostawiliśmy stawała się coraz odleglejsza. Wyglądało na to, że Mamoru chciał wspiąć się wyżej, ale rosnące w połowie wysokości zbocza drzewa zagroziły mu drogę. Gdyby mimo to poszedł dalej, musiałby natknąć się na wystające spod śniegu wysokie skały. Kiedy dotarłby do miejsca, z którego nie da się już kontynuować wędrowki, byłby zmuszony zawrócić. Z drugiej strony jednak, wędrowka w dół po śliskim zboczu, nawet z wykorzystaniem cantusu, bez wątpienia byłaby trudna. Mamoru znalazł się w nieciekawej sytuacji. Musiał kontynuować wędrowkę.

– Hej, nie mogę już dostrzec śladów sanek. A wy? – krzyknęłam do przyjaciół, zatrzymując się.

Satoru pokręcił głową.

– Ja też nie. Nawet mimo tego, że sanki są na tyle ciężkie, że zostawiają odciski nawet na lodzie...

– Podlecę wyżej i się tam rozejrzę – zaproponowała Maria, wzbijając się wysoko w powietrze, gdzie zawisła jak balon.

– Aż do tego miejsca ślady wciąż są widoczne, choć bardzo słabo – zauważyłam, dotykając rysujące się w lodzie linie i starając się utrzymać równowagę, żeby się nie pośliznąć.

Poczułam pod palcami dziwną teksturę, jakby kamień. Pod lodem leżała płaska skała wielkości trzech mat tatami, jednak była w całości przysłonięta śniegiem, więc nie dało się jej dostrzec.

Dzięki cantusowi udało mi się oczyścić płytę. Na kamieniu widniała cienka, metaliczna rysa.

– Satoru, spójrz!

Odwrócił się zwinnie i zatrzymał tuż za mną.

– Może także ten ślad zostawiły sanie...!

Maria podfrunęła w naszą stronę.

– Nie widziałam stamtąd żadnych śladów – poinformowała. – Prawdopodobnie nie ma sensu dalej się wspinać.

– Och, to niedobrze!

Kiedy słuchała moich wyjaśnień, jej blada od mrozu twarz zaczęła się czerwienić.

– W-więc... Więc myślisz, że Mamoru się pośliznął i... spadł na samo dno?

Wszyscy spojrzeliśmy w stronę doliny. Jej dno było oddalone o dobre sto metrów od nas. Nawet nie zauważyliśmy kiedy dotarliśmy aż tak daleko. Upadek z takiej wysokości prawie na pewno musiał skończyć się śmiercią, niezależnie od wprawy w korzystaniu z cantusu.

– Uważam, że powinniśmy w każdym razie zejść trochę niżej i dokładniej się rozejrzeć. Nawet, jeśli się przewrócił, być może nie stoczył się na sam dół.

Posłuchaliśmy Satoru i zaczęliśmy się cofać. Po przejściu jakichś czterdziestu metrów poczuliśmy, że śnieg pod naszymi nogami jest jakiś inny.

– To zaspą!

Staliśmy nad niewielką kotlinką, całkowicie przysypaną białym puchem.

– Zdaje się, że wciąż jest nadzieja. Sanki mogły się na niej zatrzymać jak na dużej poduszce.

– Ale nie zaczynają się tu żadne ślady – powiedziała Maria, po czym zaczęła rozpaczliwie przerzucać sterty śniegu za pomocą cantusu. Wydawało się, że zupełnie straciła panowanie nad sobą.

– Ostrożnie. Robienie kilku rzeczy naraz jest niebezpieczne. Ja się tym zajmę – powiedziałam, powstrzymując ją.

Jednym podmuchem wyrzuciłam cały śnieg wysoko w powietrze. Satoru odsunął się od opadającego białego tumanu.

Pomimo, że wspaniałomyślnie zaproponowałam, że zastąpię Marię, prawda była taka, że również mi sprawiło to niemałą trudność. Utrzymywanie się na stromym zboczu bez pomocy cantusu było bardzo lekkomyślne i skomplikowane. Już po kilku sekundach musiałam zatrzymać wiatr i ponownie użyć mocy do podparcia się, chroniąc się przed upadkiem, jednak dokładnie w tym samym momencie Maria krzyknęła.

– Tam! Coś jest tam zakopane!

Wskazywała na metalowe płozy sań, wystające spod lodu.

– Ja je odkopię! Niczego nie róbcie!

Satoru stworzył gigantyczną szufłę, za pomocą której zgarniał ogromne ilości śniegu, które następnie zrzucił z klifu. Kiedy sanie zostały już prawie całkowicie odkopane, dokończyliśmy pracę ręcznie. Gdy pozbyliśmy się całego denerwującego białego puchu, postawiliśmy sanki na płozach. Przywiązane do nich bagaże rozsypały się wokół, lecz po Mamoru nie było ani śladu.

– Gdzie on się podział – spytała Maria, będąca już na granicy hysterii. – Skoro go tu nie ma, czy to znaczy, że zleciał na sam dół? Musimy mu pomóc!

Milczałam, nie wiedząc co odpowiedzieć. Jeśli Mamoru miał czas na skorzystanie z mocy, powinien zdołać zatrzymać się w tym miejscu. Jeżeli jednak stoczył się niżej, znaczyło to najprawdopodobniej, że przez cały czas był nieprzytomny – a w takim przypadku jego szanse na przeżycie były wyjątkowo mizerne.

– Nie, poczekajcie... – powiedział cicho Satoru. – Nie uważacie, że to trochę dziwne? Czemu sanie były zakopane tak dokładnie?

Ton jego głosu rozpałił we mnie iskierkę nadziei.

– Bo przykrył je śnieg? – podsunęłam.

– Nie padało aż tak mocno – zauważył, kręcąc powoli głową. – Gdyby tak było, to ślady również zostałyby zasypane i nie moglibyśmy tu dotrzeć idąc wzdłuż nich.

– W takim razie siła uderzenia spadających sanek musiała wbić je w zaspę.

– Nawet jeśli to prawda, śnieg nie przykryłby ich do końca.

– O czym wy w ogóle mówicie? Mamoru tu nie ma. Kogo obchodzą jakieś cholerne sanki?

– One są ważne. To może oznaczać, że wszystko z nim w porządku – oznajmił Satoru. Po jego słowach zapadła cisza.

– Naprawdę? Czemu? – zapytałyśmy jednocześnie z Marią.

– Jestem w stanie wymyślić tylko jeden powód, dla którego zakopano tu te sanki – powiedział zamyślonym głosem. – Ktoś zrobił to celowo, żeby nikt ich nie odnalazł.

– Mamoru je schował? – spytała z nadzieją w głosie Maria.

– Albo ścigające go dziwoszczury...

Dokąd mogły go zabrać dziwoszczury po pozbyciu się dowodów? Rozglądałam się w poszukiwaniu drogi, którą mogły pójść.

Po krótkiej wędrówce wzdłuż stoku, natknęłam się na łagodną pochyłość porośniętą krzakami. Kawałek dalej zaczynała się prowadząca na szczyt wzgórza ścieżka.

– Wyglądają na ślady zwierząt.

Tym, co widniało na śniegu były jednak odciski stóp dziwoszczurów. Tuż obok nich biegło duże, podłużne wyżłobienie; najwyraźniej ciągnęły za sobą coś ciężkiego.

– Co one zrobiły Mamoru...? – Głos Marii urwał się, jakby wyobraziła sobie najgorsze.

– Myślę, że stracił przytomność, a dziwoszczury zabrały go ze sobą, żeby mu pomóc – odparł Satoru.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytałam go.

– Patrz, zdaje się, że unikały wystających korzeni – wyjaśnił, wskazując na ziemię. – Gdyby próbowały przenieść trupa, nie dbałyby o to, czy poobija się o konary.

Pomimo, że jego wyjaśnienie nie było do końca przekonujące, dodało nam trochę otuchy.

Doszliśmy wzdłuż śladów aż na czubek wzniesienia, gdzie nagle trop się urwał. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy coś, co wyglądało na pozostałości odcisków, które musiały zostać ostrożnie zasypane. Dwadzieścia metrów dalej ślady stóp i ciągniętego obiektu ponownie się pojawiły. Poczulałam, że jesteśmy już blisko celu i zaczęłam się trochę denerwować.

Ślady prowadziły sto metrów w głąb rzadkiego lasu.

– Hej, to jest...! – krzyknął Satoru, wskazując na coś przed sobą.

Wyraźnie ujrzałam ścianę ze śniegu zbudowaną pomiędzy dwoma grubymi sosnami, mimo, że skrywał ją cień.

Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy, że w rzeczywistości jest to dwumetrowa, kopulasta budowla.

– To igloo! – Maria z trudem zdusiła krzyk.

Lodowa chatka niczym nie różniła się od tych, które budowaliśmy zimą w dzieciństwie. Sądząc po pozostawionych na zewnątrz śladach, musiała powstać taką samą metodą, jaką wtedy wykorzystywaliśmy – najpierw usypano kopiec z ubitego śniegu, a później wydrążono wnętrze. Dwie sosny podpierające ją z boków sprawiały jednak, że wydawała się dużo solidniejsza od naszych.

– Co robimy? – spytał nerwowo Satoru.

– Wejźmy frontowym wejściem.

Nie było czasu na dyskusję. Zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę chatki. Maria i Satoru odruchowo poszli za mną, osłaniając mnie z obu stron. Nie sądziłam, że dziwoszczury odważą się zaatakować ludzi, lecz idąc w takim szyku mogliśmy szybko pomóc sobie nawzajem w razie potrzeby; nikt nie mógł również zaatakować nas wszystkich jednocześnie.

– Jest tu ktoś? – zapytałam głośno, stając przed wejściem do igloo.

Nie usłyszeliśmy odpowiedzi. Obeszłam szalas dookoła i ujrzałam niewielkie wejście, zakryte zasłoną zrobioną ze związanych ze sobą gałązek. Zajrzałam do środka.

– Satoru! Maria! Znalazłam go! – krzyknęłam.

Moi przyjaciele natychmiast ruszyli moją stronę i weszli do chatki. Wnętrze było dość przestronne. Mamoru leżał na środku, owinięty wełnianym kocem. Trudno było dostrzec jego twarz, ale nie dało się nie rozpoznać jego włosów. Jego klatka piersiowa nieznacznie unosiła się i opadała; wyglądało na to, że śpi.

– Tak mi ulżyło... – Maria ukryła twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

Mamoru powoli otworzył oczy.

– Hej. Przyszliście – zauważył.

– Chyba sobie żartujesz! Zamartwialiśmy się na śmierć – odparł ostro Satoru, nie potrafiąc jednak ukryć uśmiechu.

– Co się właściwie stało? Naprawdę spadłeś ze stoku? – zapytałam go.

Mamoru zmarszczył brwi, jakby próbował sobie z trudem coś przypomnieć.

– No tak. Wychodzi na to, że spadłem. Naprawdę nie pamiętam co się stało. Za każdym razem, gdy próbuję sobie przypomnieć, wszystko zaczyna się rozmywać jakbym miał wstrząśnienie mózgu. Zraniłem się też w nogę i nie mogłem się ruszać, więc Squonk musiał mnie odkopać i tu zanieść.

– Kto? – spytała Maria, wciąż uśmiechając się przez łzy.

– Squonk. Chociaż tak naprawdę nie wiem, jak wymawia się jego imię... Och tak, przecież dawno temu wszyscy go już spotkaliście.

– Spotkaliście? Kiedy?

Zza naszych pleców dobiegł szelest rozsuwanej kotary. Wystraszeni, odwróciliśmy się i zobaczyliśmy dziwoszczura,

niosącego na plecach kilka pakunków. Wydawał się skrajnie zdumiony naszym widokiem.

Satoru wykorzystał cantus, żeby unieść go do góry. Stworzenie odrzuciło swój bagaż, piszcząc z przerażenia. Dziwoszczur był ubrany w kilka warstw ubrania, włączając w to nakrycie z szeleszczącej folii termoizolacyjnej. Na to wszystko narzucona była cienka, brudna peleryna, która wydawała mi się dziwnie znajoma.

– Czy to może być ten sam...?

– Znasz go? – spytała zdziwiona Maria.

– Tak, i wy też. Pamiętacie jak krótko po moim wstąpieniu do Akademii Mędrców uratowaliśmy dwójkę dziwoszczurów, które wpadły do kanału?

Powoli zdołałam przywołać wspomnienie tamtego dnia. Jeśli pamięć mnie nie myliła, na czole stworzenia powinien być wytatuowany wyraz „trocina”... Maria i Satoru też najwyraźniej już sobie przypomnieli.

– Postaw go. Squonk ocalił mi życie – poprosił Mamoru.

Satoru opuścił dziwoszczura na ziemię.

– Kikikikiki... Bogowie. Dż-dżkuje – powiedział Squonk, kłaniając się nam nisko.

– Nie, to my powinniśmy ci dziękować za uratowanie Mamoru.

– To nic wielkiego. Kakakakak...ka, b-bóg miał kłopoty, t-to oczywiste, żżżżż... że musiałem p-pomóc.

Mowa Squonka była przerywana piskami i chrząknięciami. W porównaniu ze Squealerem i Kiroumaru ciężko było go zrozumieć, jednak niezaprzeczalnie poczynił ogromne postępy od dnia, w którym wyciągnęliśmy go z kanału.

– Jestem bardzo wdzięczny za twoją pomoc, Squonku, ale powiedz, czemu śledziłeś Mamoru? – Głos Satoru brzmiał prawie oskarżycielsko.

– Prz-przechodziłem w pobliżu i znalazłem ślady w śniegu. Zastanawiałem się czy-czy należą do jakiejś innej grrrr... k-kolonii,

więc zzzz... zdecydowałem ż-że się im przyjrę – odparł Squonk z pewnymi trudnościami. Kiedy mówił, strasznie się ślinił.

– Hmm... Ale czemu w ogóle znalazłeś się w tej okolicy? – spytałam.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – przerwała Maria, zanim zdążył odpowiedzieć. – Ocalił Mamoru. Dlaczego narzekacie?

Gdybym bardziej przycisnęła wtedy Squonka, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że dziwoszczury umiały kłamać tak dobrze, że nawet Satoru wypadają przy nich blade, nie wydaje mi się, by mogło to wiele zmienić.

Mimo to, wydaje mi się, że powinniśmy zapytać wtedy Squonka, co robi we wnętrzu Świętej Bariery. Wychodzenie poza obręb Bariery było nam wtedy surowo zabronione. Gdybym wiedziała, że dziwoszczury mogą swobodnie przekraczać ją w obie strony, z pewnością byłabym czujniejsza.

Później, gdy dowiedziałam się, jaki jest powód, dla którego pozwala się im bez konsekwencji przechodzić przez Barierę, byłam zdziwiona faktem, że mimo iż posiadają własną kulturę, nadal uznawane są za dzikie zwierzęta.

– Ważniejszym pytaniem jest, co ty tutaj robisz, Mamoru. Wytlumacz się. – Maria odwróciła się w jego stronę.

– Uch... Przepraszam.

– Przeprosiny to żadne wyjaśnienie. Dlaczego uciekłeś, nic nam nie mówiąc?

Mamoru usiadł. Zdawało się, że jest na granicy płaczu.

– B-bo... Nie miałem wyboru. Nie chciałem umrzeć!

– Co masz na myśli? – Maria zmarszczyła czoło.

– Nie jestem taki, jak wy. Mój cantus jest raczej słaby i nie mam żadnych specjalnych talentów. Czułem, że zostaję z tyłu.

– To nieprawda – zaprotestowałam, jednak zignorował moje słowa.

– Słoneczny Księciunio też patrzy na mnie tym chłodnym wzrokiem. Jestem już na liście osób przeznaczonych do eliminacji.

Tak samo jak X i dziewczyna, która była kiedyś w naszej grupie. Tak samo jak siostra Saki.

Spojrzałam oskarżycielsko na Marię.

– Niczego mu nie powiedziałam – odparła pośpiesznie.

– Wiedziałem. Macie przede mną jakieś sekrety. Tak, jak tamto lustro. Nie chcieliście, żebym o nim usłyszał, prawda?

– Podśluchiwałeś? – zapytałam. Wszyscy mnie zignorowali.

– Eliminacja, lista... Zbyt dużo myślisz. Nic takiego się nie stanie – powiedziała Maria uspokajającym tonem.

– Widziałem zmyłkota.

Po tych słowach zapadła zupełna cisza.

– Co? O czym ty mówisz? Ja... – Maria urwała w połowie zdania, dostrzegając wyraz twarzy Mamoru.

– Spotkałem go dwukrotnie. Pierwszy raz miał miejsce w nocy, przed czterema dniami. Wracalem po zmroku do domu i poczułem, że coś mnie śledzi. Szybko przebiegłem za róg budynku, przy którym stał rozpalony koksownik i obejrzałem się za siebie.

– Co tam było? – wyszeptał Satoru.

– Nie zobaczyłem tego bezpośrednio, lecz wiedziałem, że coś chowa się za rogiem. W blasku ognia widać było cień, który ten stwór rzucał na drogę. Nie mogłem dokładnie określić, czym on jest, ale był olbrzymi.

Przełknęłam ślinę, chłonąc każde jego słowo.

– Spanikowałem i podsyłem ogień. Od razu cały opał zaczął się żarzyć a z piecyka buchnęła oślepiająca kula płomieni. Cień zdążył jednak już zniknąć. Pognałem w ciemnościach do domu, ani razu się nie zatrzymując.

– Jesteś pewien, że to nie była tylko twoja wyobraźnia? – Maria próbowała złagodzić ton swojego pytania szerokim uśmiechem.

– Właśnie, czy to zwierzę, które cię zaatakowało na pewno było przek... zmyłkotem? – zgodziłam się.

– Nie odrzucałbym zupełnie takiej możliwości – odezwał się Satoru, tym jednym zdaniem całkowicie niweczając nasze wysiłki, żeby

uspokoić Mamoru. – Istnieje wiele historii o zmyłkotach, ale wszystkie łączy jeden ważny szczegół. Mam na myśli podążanie za ofiarą przed atakiem.

– Nie wydawało mi wtedy się, że zamierza się na mnie rzucić...

– Mamoru pokręcił głową. – Wczoraj było jednak inaczej.

– Wczoraj? Nie masz chyba na myśli...? – Maria najwyraźniej coś sobie przypomniała.

– To było wczoraj po lekcjach. Jako jedyny zostałem w szkole na dodatkowych zajęciach. Kiedy miałem już wychodzić, Słoneczny Księciunio poprosił mnie, żebym odniósł kilka niewykorzystanych wydruków do magazynu ...

– Masz na myśli ten znajdujący się w połowie korytarza, prowadzącego na wewnętrzny dziedziniec?

Poczułam zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z panującą temperaturą.

– Tak. Zrobiłem to, o co mnie prosił. Tych papierów wcale nie było tak dużo. Myślę, że to była tylko wymówka. Wszedłem do magazynu i odłożyłem wydruki. Kiedy wracałem, poczułem na sobie czyjś wzrok. – Z oczu Mamoru zaczęły kapać łzy. – Nie ma tam żadnych okien, więc panował zupełny mrok. Przyśpieszyłem kroku, wiedząc, że nie wolno mi obejrzeć się do tyłu, bo gdybym to zrobił, byłby to mój koniec. Wtedy to usłyszałem. Kroki. Były prawie bezgłośnie, ale wyczuwałem wibracje podłogi, uginającej się pod ciężarem zmyłkota – wyszłochał. – Kiedy się zatrzymałem, one ucichły w tym samym momencie. Byłem zbyt przerażony, żeby się ruszyć. Słyszałem coś brzmiącego jak oddech zwierzęcia. Poczułem też zresztą charakterystyczny smród. Myślałem, że już po mnie; że za chwilę zostanę zabity przez zmyłkota. Nie jestem pewien co się stało później, ale myślę, że podświadomie użyłem cantusu. Powstał silny podmuch powietrza, przypominający huragan, a za mną rozległ się przeraźliwy pisk. Odwróciłem się i... i to zobaczyłem.

– Co takiego? – Satoru pochylił się do przodu z zapartym tchem.

– Zobaczyłem go tylko kątem oka, zanim ukrył się w cieniu. To był niewyobrażalnie wielki, biały kot. Na podłodze zostały ślady krwi, więc możliwe, że poranił go wicher.

Nikt z nas się nie odezwał.

– Chciałam wczoraj poczekać na Mamoru, ale Słoneczny Księciunio powiedział mi, żebym poszła do domu, bo dodatkowe zajęcia będą trwały bardzo długo. – Oczy Marii rozbłyły gniewem. – Od samego początku planowali go odizolować i zabić...

– Poczekajcie. Dlaczego mielibyście chcieć pozbyć się Mamoru? Jego cantus jest przeciętny, a osobowość nie odznacza się niczym niebezpiecznym. Jest spokojny i pomocny...

– Skąd mam wiedzieć? Widział zmyłkota. Dwa razy! Jak możesz nadal mu nie wierzyć?

Podczas gdy Maria i Satoru się sprzeczali, zaczął ogarniać mnie nieznośny niepokój.

Zgodnie z tym, co usłyszałam od Tomiko, plany wyeliminowania Mamoru nie mogły dziwić. Kiedy był śledzony przez przekłete koty, użył cantusu w niebezpieczny sposób, żeby pozbyć się niewidzianego przeciwnika. To mogło dowodzić, że jest w stanie zaatakować także innego człowieka, kiedy poczuje się zagrożony. Przez tanto bezwiedne działanie na jaw wyszło jeszcze jedno zagrożenie. Mamoru nie potrafił w pełni świadomie kontrolować mocy, co oznaczało, że istnieje duże ryzyko, że w przyszłości zmieni się w karmicznego demona...

Poczułam przerażenie, kiedy uświadomiłam sobie, że mimowolnie przyjął punkt widzenia Rady Edukacji.

– Kiedy spotkałem zmyłkota, coś mi się przypomniało – powiedział cicho Mamoru. – Już kiedyś go widziałem.

– O czym ty mówisz? – spytał skołowany Satoru.

– Nie potrafię sobie tego dobrze przypomnieć. Możliwe, że to fragment wspomnień, które nam odebrano... Pamiętam, że ukrywałem się za magazynem na wewnętrznym dziedzińcu.

W pewnym momencie jego wrota się otworzyły a ze środka wyszedł zmyłkot.

– Też to pamiętam! – krzyknęła Maria. – Ja... ja też tam byłam.

Zapadła grobowa cisza. Nasz naiwny plan odszukania Mamoru i sprowadzenia go z powrotem do domu legł w gruzach. Co nam pozostało? Zawiedliśmy na całej linii.

Ponieważ noga Mamoru mogła być złamana, nie moglibyśmy go odprowadzić wtedy do wioski, nawet gdyby tego chciał. Satoru udał się więc samotnie w drogę powrotną, żeby poinformować Słonecznego Księciunia, że ja i Maria źle się poczułyśmy i wróciłyśmy wcześniej do domów.

Zbudowałyśmy kolejne śnieżne schronienie tuż obok chatki Mamoru. Miałam ze sobą śpiwór, który zabrałam na wszelki wypadek, ale Maria nie wzięła niczego, czym mogłaby się przykryć, więc wróciłyśmy się do miejsca, w którym zakopane były sanki, żeby przeszukać bagaże Mamoru. Na szczęście okazało się, że wziął ze sobą nawet więcej niż wystarczającą ilość jedzenia i niezbędnego wyposażenia, więc zapakowałyśmy wszystkie te graty na sanki, zaciągnęłyśmy je do naszej kryjówki i rozпалиłyśmy ognisko. Roztopiłyśmy też trochę śniegu i ugotowałyśmy kolację dla całej naszej trójki. Squonk również dostał trochę suszonego mięsa, które ze sobą zabraliśmy.

– Wygląda na to, że jutro nie będzie padać – zauważyłam, sącząc herbatę.

– Też tak myślę – odparła nieco opryskliwie Maria.

– Jeśli taka pogoda się utrzyma, Mamoru będzie mógł jechać na sankach.

– Niby dokąd?

– No cóż... – zamyśliłam się.

– Nie wracam – odezwał się Mamoru, podnosząc głowę.

– A-ale...

– Zabiją mnie.

– Ma rację! Raz już prawie im się udało – poparła go Maria.

– Realnie myśląc, nie ma innego wyjścia jak powrót, prawda? – próbowałam ich przekonać. – Rozmawiałam z przewodniczącą Komisji Etyki, Tomiko. Jeśli jej o tym powiemy... Jestem pewna, że zrozumie.

Mówiąc szczerze, nie miałam żadnej pewności, że to co powiedziałam, okazałoby się prawdą. Tomiko mogła równie dobrze uznać, że Mamoru rzeczywiście stwarza zagrożenie dla dystryktu, a nawet gdyby tak nie uważała, wątpiłabym, że przeciwstawiłaby się decyzji Rady Edukacji tylko po to, żeby go ocalić.

– Nie, nie możemy ufać nikomu dorosłemu – zaprotestowała kategorycznie Maria. – Możesz mieć rację, mówiąc, że to nie Komisja Etyki podejmuje decyzje o eliminowaniu uczniów, jednak najwyraźniej nie mieszają się w nie. Gdyby było inaczej, ludzie by nie znikali, tak jak twoja siostra, dziewczyna z naszej grupy czy X.

Pomyślałam o chłopcu bez twarzy. *Co on powiedziałby w takiej sytuacji?*

– Co w takim zrobi Mamoru, skoro nie może wrócić?

– Będę żył na własną rękę – odpowiedział.

– Co? To nie jest letni obóz, wiesz? Będziesz musiał spędzić samotnie kilka następnych dziesięcioleci i...

– Mi także się to nie podoba, ale mam swój cantus. Jakoś sobie poradzę.

– Ale...

– Myślę, że damy sobie radę. – Maria ponownie przysłała mi pomoc. – Można przetrwać w pojedynkę, mając odpowiednie doświadczenie, ale Mamoru nie będzie sam. Ja z nim zostanę.

– Nie mówisz poważnie! – wykrzyknęłam. Poczulałam, że kręci mi się w głowie.

– Mamoru sam nie da sobie rady. Poza tym, wybraliśmy się wzajemnie na partnerów.

– Nie, ty musisz wrócić. Twoi rodzice będą się martwić – zaprotestował niespodzianie Mamoru.

– Czemu? Nie chcesz, żebym była przy tobie?

– Oczywiście, że chcę. Byłbym wtedy naprawdę szczęśliwy, jednak życie z dala od wiosek nie będzie proste. Ja nie mam wyboru, ponieważ jeśli wrócę, dorośli nie pozwolą mi żyć. Ty jednak możesz...

– Nie przejmuj się tym. – Maria uśmiechnęła się uprzejmie. – Więc to dlatego uciekłeś, niczego mi nie mówiąc. Naprawdę nie znam nikogo tak troskliwego jak ty. Od teraz jednak zostaniemy razem, dobrze? Obiecuj mi to.

Mamoru się nie odezwał, ale zbierające się w kącikach jego oczu łzy wystarczyły za odpowiedź. Westchnęłam głęboko. Nie potrafiłam w żaden sposób przekonać ich, żeby zmienili zdanie.

Tej nocy kochałyśmy się z Marią w śnieżnej chatce.

– Już nigdy cię nie zobaczę, prawda? – spytałam posępnie, tuląc głowę do jej piersi.

– Nie, z pewnością kiedyś jeszcze się spotkamy. – Maria uśmiechnęła się, gładząc mnie po włosach. – Kocham cię z głębi serca, Saki, ale teraz martwię się o Mamoru. On nie ma nikogo innego, kto mógłby go ochronić.

– Wiem, ale...

– Ale co?

– Jestem zazdrosna.

– Och, głuptasie! – zachichotała rudowłosa. – Od teraz będziemy musieli z Mamoru walczyć o przetrwanie z nieprzyjazną dziką naturą. To ja powinnam ci zazdrościć.

– Masz rację. Przepraszam – odparłam ze skruchą.

– Wybaczam ci – powiedziała, unosząc mój podbródek i muskając mnie lekko ustami.

Całowałyśmy się gorąco i namiętnie, jakbyśmy nigdy nie miały się już spotkać.

To rzeczywiście był nasz ostatni pocałunek.

Rozdział 4

Następnego ranka, kiedy z nieba zaczął lekko prószyć śnieg, powróciłam samotnie do wioski.

Pomimo, że wspomagałam się cantusem, żeby wprawić narty w ruch, musiałam przebyć tak duży dystans, że gdy dotarłam do celu, ze zmęczenia nie czułam nóg. Bardzo ciążyła mi myśl o Marii i Mamoru; martwiłam się wszystkimi nieznanymi zagrożeniami, jakimi z pewnością usiana była ich przyszłość.

Ostatecznie dotarłam do przystani w Dębowym Gaju i spostrzegłam, że nigdzie w pobliżu nie ma żywej duszy, chociaż zazwyczaj nawet w niedziele w okolicy kręciło się sporo ludzi. Nie zwróciłam jednak na to większej uwagi, myśląc, że po prostu mam szczęście i ciesząc się, że nikt mnie nie zauważył.

Odwiązałam Hakurena 4 i popłynęłam prosto do domu. Żeby się tu dostać, musiałam tak często korzystać z mocy, że nie potrafiłam się już wystarczająco skoncentrować, a ze zmęczenia oczy zasły mi mgłą. Kajak chwiał się na boki i obijał o brzegi kanału.

Podczas całej drogi z Dębowego Gaju do Wodnego Młyna nie natknęłam się na ani jednego człowieka. W końcu zaczęło do mnie docierać, że coś jest bardzo nie w porządku. Nikt nie przechadzał się nad wodą. Kamisu 66 zdawało się zupełnie wymarłe.

Padający dotąd leniwie śnieg przerodził się w ostrą, mokrą zawieruchę. Na dziobie łodzi zgromadziła się cała sarta białego puchu.

Kiedy w końcu zobaczyłam swój dom, byłam wstrząśnięta. Moi rodzice stali razem na pomoście. Nie mieli ze sobą nawet parasolki, więc całe ich głowy i ramiona pokrywała gruba warstwa śniegu.

– Przepraszam – powiedziałam do nich, skręcając kajakiem w stronę doku. – Nie mogłam wrócić wczoraj do domu...

Uśmiechnęli się do mnie nieznacznie.

– Jesteś głodna? – odezwała się w końcu mama.

Pokręciłam głową.

– Wiem, że musisz być wyczerpana, ale pytała o ciebie Rada Edukacji. Chodź ze mną – powiedział ojciec poważnym tonem.

– Nie możemy pozwolić jej trochę odpocząć? – spytała moja matka błagalnym tonem.

– Nie... Nie wolno nam. To nadzwyczajna sytuacja, zwłaszcza, że poprosili nas o przyście tak wcześnie.

– W porządku, nie jestem aż tak zmęczona – odparłam, starając się, żeby mój głos brzmiał energicznie.

– No dobrze, popłyniemy kajakiem taty. Saki, możesz się zdrzemnąć po drodze.

Łódź mojego ojca, której używał poza obowiązkami służbowymi, była dwukrotnie większa od Hakurena 4. Zamknęłam oczy, a mama zarzuciła mi pled na ramiona; serce waliło mi jednak tak szybko, że nie byłam w stanie zasnąć. Na przystani w Zbożowym Kręgu ktoś już na nas czekał. To była ta sama kobieta w średnim wieku, która powitała nas dwa lata temu, po naszym powrocie z letniego obozu. Tym razem jednak ewidentnie unikała mojego wzroku.

Podążyłam za rodzicami ośnieżoną ścieżką. Siedziba Rady Edukacji mieściła się tuż obok biblioteki, którą zarządzała moja matka. Budynek był otoczony bambusowym żywopłotem, który skutecznie uniemożliwiał dostrzeżenie z zewnątrz tego, co się za nim znajduje. Weszliśmy przez boczną bramę. Mimo, że nadal padało, dziedziniec został dokładnie odśnieżony i osuszony za pomocą cantusu. Prowadzący do głównego wejścia brukowany chodnik miał około trzydziestu metrów długości. Wewnątrz ciągnął się strasznie długi i wąski korytarz. Pomimo, że z zewnątrz budowla nie przypominała głównej kwatery Komisji Etyki, jej wnętrze było prawie identyczne.

– Nie możecie dalej towarzyszyć córce – zwróciła się do moich rodziców przedstawicielka Rady.

– Jako jej ojciec i burmistrz dystryktu, chcę odpowiadać w jej imieniu. Mam ze sobą odpowiedni wniosek.

– Nie możecie tam z nią wejść. – Kobieta zignorowała prośbę mojego taty.

– Jako osoba odpowiedzialna za bibliotekę mam obowiązek spisać raport z tego przesłuchania. Zrobicie dla mnie wyjątek?

– Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę.

Moja matka próbowała wykorzystać swoją pozycję, żeby wywrzeć nacisk na członkinię rady, ale jej prośba również spotkała się ze stanowczą odmową. Rodzice nie mogli już nic więcej zrobić.

– Saki, nie wydaje mi się, że muszę ci o tym mówić, ale proszę, odpowiadaj na wszystkie pytania tak szczerze, jak potrafisz – powiedziała mama, kładąc dłonie na moich ramionach i patrząc mi głęboko w oczy.

– Wiem... Poradzę sobie – odparłam.

Zrozumiałam, co naprawdę chciała mi przekazać. Musiałam ostrożnie szafować prawdą. Od teraz każda zła odpowiedź była równoznaczna ze śmiercią.

Zabrano mnie do dużej sali, urządzonej w zachodnim stylu. Podłoga była wyłożona lśniącym, ciemnym drewnem, a umieszczone wysoko pod sufitem niewielkie okna nadawały pomieszczeniu iście rembrandtowskiego klimatu. Na środku postawiono stół, wyglądający jak ławy używane podczas przyjęć. Siedziało przy nim w rzędzie około dziesięcioro ludzi. Środkowe miejsce zajmowała przewodnicząca Rady Etyki, Hiromi Torigai. Osoby po jej obu stronach musiały być jej podwładnymi.

– Nazywasz się Saki Watanabe? Proszę, usiądź tu.

Głos, który usłyszałam nie należał do Hiromi, a do tęgiej kobiety, która siedziała po jej lewej. Posłusznie usiadłam na jedynym krześle w komnacie.

– Jestem Masayo Komatsuzaki, wiceprzewodnicząca Rady Edukacji. Chcemy zapytać cię o kilka rzeczy. Proszę, żebyś odpowiadała na wszystkie pytania zgodnie z prawdą. Nie kłam i niczego nie zatajaj. Zrozumiałaś?

Ton jej głosu był przyjacielski jak u każdego nauczyciela, ale wpatrywała się we mnie lodowatym wzrokiem. Poczułam przed nią duży respekt.

– Tak – odpowiedziałam bez zbędnych komentarzy.

– Dowiedziałaś się, że chłopiec z twojej grupy, Mamoru Itou, uciekł wczoraj z domu wczesnym rankiem. Czy to prawda?

– Tak – odparłam cicho.

– Kiedy to odkryłaś?

Wiedziałam, że nie ma sensu tego ukrywać.

– Przed rozpoczęciem lekcji – odpowiedziałam szczerze.

– W jaki sposób się o tym dowiedziałaś?

– Powiedziała mi Maria Akizuki.

– Co zrobiłyście później?

– Najpierw poszliśmy do szkoły, a później, gdy nadarzyła się okazja, wyruszyliśmy na poszukiwanie.

– Dlaczego nie poinformowałaś o tym swoich rodziców ani nauczycieli?

To było dobre pytanie. Zastanowiłam się przez chwilę.

– Ponieważ miałyśmy nadzieję, że uda nam się go sprowadzić z powrotem zanim stanie się to większym problemem.

– Rozumiem. Można to jednak uznać za próbę ukrycia przed nami waszych działań. Nie zgadzałaś się z decyzją Rady Edukacji i postanowiłaś jej zapobiec, nie mylę się? Jeśli tak, to...

Hiromi wyszeptała coś na ucho Masayo. Wiceprzewodnicząca odpowiedziała coś, co brzmiało jak „dobrze, zrozumiałam”.

– Przejdźmy do następnego pytania. Poszłaś szukać Mamoru Itou podczas lekcji przeznaczonych na indywidualne obserwacje. Kto jeszcze był z tobą?

– Maria Akizuki i Satoru Asahina.

– Rozumiem. Więc w trójkę wyruszyliście na poszukiwania Mamoru. Znaleźliście go?

Byłam zdezorientowana. Satoru wrócił wczoraj, więc musieli go już przesłuchać. Zastanawiałam się, co mógł odpowiedzieć.

– Co się dzieje? Może jesteś tu po raz pierwszy, ale pamiętaj, że odpowiadasz przed oficjalną komisją śledczą. Musisz mówić prawdę.

Głos Masayo był bardzo surowy, a przez salę przetoczył się pomruk niepewności. Odezwała się Hiromi.

– Satoru Asahina zeznał już, że udało wam się odnaleźć Mamoru Itou. Powiedział, że Mamoru spadł z sanek i złamał nogę. Twierdził też, że wrócił pierwszy, a ty i Maria zostałyście na miejscu, żeby opiekować się rannym.

Satoru nie wspomniał o dziwoszczurze.

– Przewodnicząco... – Masayo spojrzała z wyrzutem na Hiromi.

– W porządku. Zorganizowaliśmy to przesłuchanie, żeby ustalić prawdę. Nie chcemy sprawić, żeby zaczęła zaprzeczać samej sobie – dodała szefowa Rady tak cicho, że ledwo ją usłyszałam. – Czy było tak, jak powiedział Satoru Asahina?

– Tak.

Poczułam lekką ulgę, widząc, że Hiromi nie jest tak bezwzględna jak przypuszczałam.

– Co stało się później? Dlaczego wróciłaś sama? Spodziewaliśmy się, że ty i Maria Akizuki bezpiecznie sprowadzicie Mamoru Itou z powrotem do wioski – powiedziała Masayo.

Rzuciłam okiem na twarze zebranych w pomieszczeniu przedstawicieli komisji śledczej. Jak mogłam rozwiązać ich podejrzenia? Kłamstwo mogło jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Nie miałam innego wyjścia, jak mówić prawdę. Tylko tak mogłam uniknąć niespójności w zeznaniach.

– Próbowałam przekonać Mamoru, żeby z nami wrócił, lecz on odmówił. Nie miałam więc wyboru i wróciłam samotnie. Nie mogliśmy go tam pozostawić bez opieki, więc Maria postanowiła z nim zostać.

– Możemy więc założyć, że Maria Akizuki nadal przekonuje Mamoru Itou, żeby wrócił do domu?

– Tak – odpowiedziałam, odwracając wzrok.

– Co miałaś zamiar zrobić po powrocie? Zamierzałaś opowiedzieć o wszystkim swoim rodzicom, nauczycielowi i Radzie Edukacji?

– Ja... Sama nie wiem.

– Nie wiesz? Co ty chcesz...?

Masayo zaczęła unosić się gniewem, lecz w porę wtrąciła się Hitomi.

– To zrozumiałe, że jesteś zdezorientowana. Każdy by się tak czuł na twoim miejscu... Jednak wiesz, co musisz teraz robić, prawda? Masz jedynie odpowiadać szczerze na pytania. Resztę pozostaw nam, zgoda?

– Zrozumiałam.

– Z jakiego powodu Mamoru Itou odmówił powrotu? Pytałaś go o to?

– Tak – przytaknęłam.

– I jaka to była przyczyna?

Wzięłam głęboki wdech. Co zaskakujące, byłam znacznie spokojniejsza, niż się spodziewałam. Nie mogłam całkowicie skłamać, odpowiadając na to pytanie. Jeśli zmieniałabym kilka szczegółów w historii Mamoru i pominęła zupełnie kwestię przeklętych kotów, to może...

– Co się dzieje? Odpowiedz na pytanie?

Zawahałam się.

– Czy masz w ogóle pojęcie, co się teraz dzieje w Kamisu 66? – wrzasnęła Masayo. – Wydano rozkaz pozostania w domach a ludzie umierają ze strachu. A to wszystko przez jednego samolubnego ucznia!

Dlaczego zareagowano tak przesadnie na zaginięcie jednego chłopca? Nie potrafiłam wtedy zrozumieć przyczyny takiego stanu rzeczy. Zamiast tego poczułam, jak rozpiera mnie niepoohamowana wściekłość.

Jakim prawem śmieli nazwać Mamoru samolubnym? To oni, Rada Edukacji, doprowadzili go do skrajnego szaleństwa i chcieli odebrać mu życie.

Moje milczenie najwyraźniej wzbudziło podejrzenia siedzących przy stole ludzi, którzy zaczęli się niespokojnie wiercić.

– O co chodzi? Czemu milczysz? Powiedz coś! – warknęła Masayo, stukając niecierpliwie palcami o blat.

– Jestem przekonana, że Mamoru uciekł, ponieważ nie chciał umrzeć.

W końcu to powiedziałam. Nie było już odwrotu.

– C-co...? Nie mów takich absurdalnych rzeczy!

– Po prostu odpowiadam na wasze pytania.

Czy naprawdę byłam aż tak odważna? Sama zdumiałam się własną odpowiedzią.

– Usłyszałam to bezpośrednio od niego. Ostatnio spotkał dwukrotnie zmył... przekłętą kota. Za pierwszym razem najwyraźniej tylko go śledził.

– Przestań! Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz?

– Drugi raz miał miejsce po lekcjach, dwa dni temu. Słoneczny Księż... Pan Endou nakazał Mamoru zostać w szkole po zakończeniu zajęć i wysłał go na wewnętrzny dziedziniec, rozmyślnie chcąc odseparować go od innych uczniów – kontynuowałam, ignorując ją. – Tam został zaatakowany przez przekłętą kota i cudem uniknął śmierci. Widział go wyraźnie. Powiedział nawet, że stwor miał białe futro. Dlatego właśnie...

– Dosyć! Zamilcz! Zrobiłaś pośmiewisko z Rady Edukacji i tego przesłuchania. Twoje słowa są rażącym naruszeniem Kodeksu Etyki! – wrzeszczała histerycznie Masayo.

– Również jestem bardzo zawiedziona. Obydwoje twoi rodzice są cudownymi ludźmi. Z pewnością będą żałować, że musiało do tego dojść – westchnęła Hiromi.

Jej głos nadal był łagodny, jednak po raz pierwszy poczułam przed nią strach.

– Są w innym pomieszczeniu...? Tak, rozumiem – powiedziała cicho do innego członka komisji, po czym ponownie zwróciła się do mnie. – Opuść, proszę, tę salę. Nie pozwolimy ci jednak wrócić do domu z rodzicami. Zostaniesz w tym budynku. Naprawdę żałuję, że to zakończyło się w taki sposób.

Jej słowa były równoznaczne z wyrokiem śmierci.

– Zostanę wymazana?

Hiromi spojrzała na mnie z obrzydzeniem.

– Ale ty jesteś odrażająca... Mówić takie rzeczy tak spokojnie... – wyszeptwała.

Kiedy wstawała ze swojego miejsca, rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

– Kto tam? Trwa posiedzenie Rady. Poczekaj na swoją kolej! – krzyknęła ostro Masayo.

Osoba, która stuknęła w drzwi zignorowała polecenie i weszła do pokoju. Wszyscy zamarli, natomiast ja poczułam ogromną ulgę.

– Może wybrałam nienajlepszy moment, ale obawiam się, że muszę coś powiedzieć.

Odziana w wełnianą chustę narzuconą na kimono, Tomiko Asahina obrzuciła przyjaznym uśmiechem wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu.

– Wiem, że wszyscy poświęciliście sprawie Saki dużo pracy, ale nalegam, pozwólcie mi ją przejąć.

– P-przykro mi, ale zajmowanie się incydentami, w które zaangażowani są nieletni, leży w wyłącznych kompetencjach Rady Edukacji. Interwencja z zewnątrz to niezbyt dobry pomysł, nawet, jeśli prosi o to ktoś taki jak ty... – Głos Masayo stał się tak cichy, że ledwo dało się ją usłyszeć.

– Masz rację. Wybaczcie mi. Nigdy nie miałam zamiaru doprowadzić do takiej sytuacji, ale muszę częściowo wziąć na siebie winę Saki.

– Tomiko, proszę, porozmawiajmy o tym gdzie indziej – powiedziała Masayo, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Tomiko zupełnie ją zignorowała i odwróciła się w stronę Hiromi.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że jesteś częściowo winna? – spytała przewodnicząca Rady.

– Powiedziałam Saki o kilku rzeczach, włączając w to przekłete koty.

– T-to... niebywałe! – wysapała Hiromi. Mimo panującego cienia wyraźnie zobaczyłam, jak z jej twarzy odpływają wszystkie barwy.

– Masz rację. Jednak konieczne było uświadomienie osoby, która w przyszłości może zostać przywódcą dystryktu.

– Ona?! – wyrwało się skrajnie zdumionej Masayo.

– Dlatego proszę cię, Hiromi, bądź łagodna dla Saki.

– To nie takie proste, Tomiko. Teraz już nie chodzi tylko o chłopca. Zaginęła też dziewczyna! – powiedziała drżącym głosem.

– Wiem. To poważna sprawa. Ale czy to nie Rada Edukacji w dużej mierze ponosi winę za to, co się stało?

– My... jesteśmy winni?

Członkowie komisji poruszyli się niespokojnie.

– Tak. Przede wszystkim uważam, że decyzja o pozbyciu się Mamoru Itou była zbyt pochopna i nierozważna. To, w połączeniu z waszą nieudolnością w doprowadzeniu sprawy do końca, spowodowało całą tę sytuację.

– T-to... – Hiromi zamilkła ze skamieniałą twarzą.

– Nikt tutaj nie jest bez winy, włącznie ze mną. Być może to właśnie ja zasługuję na największą krytykę. W końcu przeprowadzenie eksperymentu na grupie pierwszej było moim rozkazem. Teraz nie ma jednak czasu na roztrząsanie przeszłości. Musimy zdecydować, co powinniśmy dalej robić. Mylę się?

Członkowie Rady Edukacji, ludzie, mający większą władzę od burmistrza i opiekunki biblioteki razem wziętych, spuścili głowy jak skarceni uczniowie.

– Masz absolutną rację – wymamrotała Hiromi.

– Cieszę się, że się zrozumieliśmy. Pozwólcie mi więc zająć się Saki. Wszystko będzie w porządku. Wezmę pod uwagę to, co macie do powiedzenia.

Nikt nie śmiał zaprotestować.

– Możemy usiąść przy kominku w wewnętrznym salonie? Chciałabym porozmawiać z Saki.

– A-ale teraz w tamtym pokoju są...

– Och, rozumiem. Zamierzaliście ją tam zaprowadzić? – Tomiko uśmiechnęła się pogodnie. – To nic nie szkodzi. Niczego tam nie ruszajcie.

Wewnętrzny salon okazał się dużym pomieszczeniem o powierzchni około trzydziestu mat tatami. Środek pokoju zajmowało ogromne palenisko, w którym trzaskały wesoło czerwone płomienie. Z sufitu na długim łańcuchu zwisał pełny wody kociołek, z którego uniosła się para.

– Nie musisz się tak niepokoić.

Tomiko zaczerpnęła trochę wody i napełniła dwie żółte filiżanki. Zamieszała zawartość trzykrotnie pędzlem *chasen*¹ i wyrzuciła go do śmietnika. Następnie wytarła naczynia ściereczką, otworzyła szare pudełko ze sproszkowanymi liśćmi zielonej herbaty, odmierzyła łyżeczką dwie porcje i wsypała je do filiżanek. Po raz kolejny użyła pędzla, żeby szybko wymieszać wodę z herbatą.

Wzięłam od niej jedną filiżankę i zaczęłam pomału sączyć napar.

– To nie czas na pokaz dobrych manier. Pij.

Skinęłam głową, lecz sprawiło to jedynie, że stałam się jeszcze bardziej nerwowa.

Niezależnie jak się starałam, nie potrafiłam po prostu ignorować trzech przeklętych kotów, śpiących po przeciwnej stronie paleniska.

¹ Chasen to bambusowy pędzel służący do przygotowywania herbaty matcha. Wykonany jest z odpowiedniej grubości gałązki bambusa z kolankiem w dolnej części. Ścianki bambusowej rurki są specjalnie i precyzyjnie nacięte dzięki czemu powstaje dwuwarstwowy pędzel przypominający nieco pędzel do golenia.

Futro jednego z nich miało wzór przypominający żółwiową skorupę, natomiast dwa pozostałe były pasiaste – ich ciała ozdabiały naprzemiennie ułożone szaro-czarne i żółto-białe pręgi. Ich oczy pozostawały zamknięte i przez cały czas poruszały z zadowoleniem uszami i ogonami.

Można było odnieść mylne wrażenie, że to bardzo sielankowa scena; patrząc zza paleniska trudno było prawidłowo ocenić rozmiar kotów.

– Cóż, chyba nie dam rady sprawić, żebyś ich nie zauważała. Nie obawiaj się jednak, one nigdy nie atakują, jeśli im się tego nie rozkaże.

– Dlaczego są aż trzy? – zadałam pierwsze pytanie jakie przyszło mi do głowy.

– Są tresowane do działania w zespołach liczących trzech osobników. To ofensywna taktyka nazywana strategią trójcy; bazuje ona na trzech pierwiastkach – nieba, ziemi i człowieka.

– Wszystkie atakują jednocześnie?

– Tak. Kiedy musimy je wykorzystywać, zazwyczaj oznacza to, że ich cel nie jest już podatny na sugestię hipnotyczną. Jednakże, niezależnie od tego jak potężnym się jest, obrona przed trzema symultanicznymi atakami jest praktycznie niemożliwa – odparła Tomiko z uśmiechem.

– Ale Rada Edukacji już wcześniej postanowiła się nas pozbyć. Czy jeden kot by nie wystarczył?

Sama byłam zdziwiona, że mogę rozmawiać na ten temat z takim spokojem.

– Najprawdopodobniej tego nie pamiętasz, ale raz już odparłaś ich atak. Może nawet dwa razy.

Wzdrygnęłam się. Za każdym razem, kiedy ktoś mi przypominał o utraconych wspomnieniach, czułam paskudne ukłucie w podbrzuszu.

– Mogę o coś zapytać? – spytałam po krótkiej pauzie, przerywając milczenie.

- Proszę, nie krępuj się.
- Pani Tomiko... Tomiko-sama.
- Wystarczy samo „pani” – zachichotała.
- Wcześniej wspomniała pani o rozkazie przeprowadzenia eksperymentu na grupie pierwszej, prawda? Co miała pani na myśli?
 - Widzę, że uważnie słuchałaś. – Tomiko pomału odwróciła trzymany w dłoni kubek. Biała glazura, którą pokryta była glina nadawała filiżance pięknego, różowego blasku.
 - Wszyscy musieliście w pewnym stopniu zorientować się, że grupa pierwsza jest szczególna, racja?
 - Cóż... tak mi się wydaje.
 - Każde z was jest bardzo wyjątkowe. Większość uczniów od najmłodszych lat jest poddawana hipnozie, dzięki czemu możemy kontrolować ich umysły. Nie są w stanie nawet pomyśleć o złych lub potencjalnie niebezpiecznych rzeczach. Jednakże, tobie i twoim przyjaciołom pozwoliliśmy zasadniczo zachować wolność myśli.
 - Dlaczego akurat my?
 - Ponieważ grzeczne owieczki nie są w stanie same obronić dystryktu. Przywódcy muszą odznaczać się tolerancją i otwartością umysłu. Ich przekonania muszą być na tyle silne, żeby nie bali się od czasu do czasu wykonać brudnej roboty. Aby przystosować się do zmian, jakie zachodzą w społeczeństwie na przestrzeni lat, lider musi mieć dużą zdolność adaptacji i ogromną wolę przetrwania, niezależnie od sytuacji z jaką przyjdzie mu się mierzyć.
 - I właśnie dlatego zostałam umieszczona w pierwszej grupie?
 - Dokładnie – odpowiedziała swobodnie.
 - A co z Satoru? Został wybrany bo jest pani wnukiem?
 - Wnukiem... – Tomiko uśmiechnęła się tajemniczo. – Nazwisko Asahina to tylko zbitek sylab, który przypadło mi dzielić z Satoru. Grupę pierwszą stworzono z uczniów obdarzonych specjalnymi zdolnościami. Zgrupowanie was w jeden zespół uprościło sporo rzeczy.

Siwowłosa kobieta nagle wstała i obeszła palenisko. Uklękła przy jednym z pasiastych kotów i podrapała go za uchem. Zwierzę zamruczało z rozkoszy.

– Zaczęły jednak następować nieprzewidziane wydarzenia – kontynuowała. – Najbardziej żałuję tego, że musieliśmy pozbyć się chłopca, z którym wiązaliśmy największe nadzieje... – Spojrzała na mnie i zaczęła dalej mówić swoim zwykłym tonem. – Teraz jest tak samo. Żadne inne dziecko nie mogłoby nawet pomyśleć o ucieczce z wioski i życiu na własną rękę. Wszystkich pozostałych strach sparaliżowałby na samą myśl o przekroczeniu Świętej Bariery. Tamci dwoje są jednak inni. Zagrożeni śmiercią we własnym domu, wybrali zamiast tego samotne życie w dziczy.

Zaniemówiłam. W jakiś sposób wszystkiego się domyśliła.

– I była to bardzo racjonalna decyzja, jeśli chcesz znać moje zdanie – ciągnęła. – To rezultat wolnego, nieskrępowanego myślenia. Ich wybór stanowi jednak obecnie olbrzymie zagrożenie dla fundamentalnego bezpieczeństwa dystryktu.

– Czy ich ucieczka naprawdę jest dla mieszkańców wiosek takim dużym problemem? – spytałam. – Wątpię, że Maria i Mamoru kiedykolwiek tu wrócą. Dlatego nie wydaje mi się by mogli wywrzeć jakiś negatywny wpływ na...

– Nie dostrzegasz prawdziwej natury problemu – odparła smutno Tomiko.

– Co ma pani na myśli?

– Wiesz, ile wynosi populacja japońskiego archipelagu – zapytała, przerywając głaskanie kota.

Jej pytanie trochę zbiło mnie z tropu.

– Nie za bardzo... – odpowiedziałam.

– W przeszłości to była pierwsza rzecz, jakiej uczono na lekcjach geografii. Teraz nawet tak podstawowa wiedza jest traktowana jak bardzo poufne informacje... Obecnie, szacunkowa liczba ludności wszystkich dziewięciu dystryktów wynosi od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy.

– Aż tyle? – zdumiałam się.

– W czasach starożytnej cywilizacji byłaby to zadziwiająco mała liczba. Tysiąc lat temu w samej tylko Japonii mieszkało ponad sto milionów ludzi.

Nie mogłam w to uwierzyć. „Sto milionów” było jednostką dobrą do liczenia rybich jajeczek, nie osób. Po pierwsze, zapewnienie wyżywienia tak ogromnej społeczności musiało być trudne. A jeśli wszyscy mieliby żyć w najbardziej dostępnych obszarach, panowałby taki ścisk, że nie dałoby się nawet oddychać.

– Starożytni posiadali coś, co zwało się bronią nuklearną, wiedziałaś o tym? Dzięki rozszczepianiu jąder radioaktywnych pierwiastków lub fuzji atomów deuteru jedna bomba miała taką siłę rażenia, że mogła zmieść całe miasto z powierzchni Ziemi.

– Całe miasto...?

Nie byłam w stanie wyobrazić sobie powodu, dla którego ktoś miałby potrzebować broni takiego typu. Nawet przyjmując, że chciano by z jej pomocą zdobyć całą górę Fuji, zniszczenie strzegącego ją miasta całkowicie odebrałoby sens zwycięstwa.

– Posiadanie takiej broni było niezwykle stresujące. Państwa prześcigały się w ilości i złożoności bomb... Przypuszczalnie jednak sytuacja, z którą musimy mierzyć się obecnie jest jeszcze gorsza od tamtej.

– Nie rozumiem. To znaczy, tamte bronie już nie istnieją, prawda?

– Prawda. Teraz świat naszpikowany jest czymś, czego potencjał jest o wiele bardziej przerażający.

– Czym?

– Ludźmi.

Tomiko pogładziła szyję kota w pomarańczowe paski. Jego mruczenie przetoczyło się jak grzmot przez podłogowe deski.

– Przypomnij sobie naszą wcześniejszą rozmowę. Jedna Bestia może bez trudności zniszczyć cały dystrykt. Ponadto, w przeciwieństwie do bomb jądrowych zabija tak długo, jak sama

pozostaje przy życiu... Jeśli zaś chodzi o karmiczne demony, mentalna niestabilność jednego z nich może oznaczać koniec całej planety.

– Ale to są wyjątkowe przypadki, więc jeśli odpowiednio się przed nimi ochronimy, to...

– Nie, to nie działa w taki sposób. Za bardzo skupiasz się na procesach, które mogą doprowadzić do wymknięcia się cantusu spod kontroli. Prawdziwym zagrożeniem jest jego nielimitowana energia. Obecnie na archipelagu Japonii żyje pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Musisz sobie wyobrazić, że każdy z nich dysponuje niszczycielskim potencjałem większym niż bomba atomowa... Jak więc zachowasz się wiedząc, że dwie takie bomby gdzieś zaginęły?

Dwukrotnie większy od lwa kot o futrze w cętki przypominające skorupę żółwia wstał i się przeciągnął. Ziewnął, ukazując długie, wykrzywione jak szable kły. Parkiet skrzypiał pod ciężarem oddalającego się pomału zwierzęcia, które nie zwróciło na mnie najmniejszej uwagi.

Sklamałabym mówiąc, że słowa Tomiko mnie nie zszokowały. Nigdy nie patrzyłam na ludzkość z takiej perspektywy. Taki właśnie był najprawdopodobniej tok myślenia osób sprawujących władzę – by zawsze być przygotowanym na najgorsze. Wtedy jednak pomyślałam, że to tylko paranoiczne obawy starszej kobiety.

– Przyrowadź ich z powrotem – powiedziała Tomiko. – Jeśli chcesz, żeby przeżyli, musisz ich tu ściągnąć. Mogę ręczyć za ich bezpieczeństwo. Jeżeli będą się dalej ukrywać, nie pożyją długo.

– Dlaczego?

– Rada Edukacji podejmie wszelkie możliwe działania, żeby się ich pozbyć. Wszystkim okolicznym koloniom dziwoszczurów zostanie wydany rozkaz ich zabicia. Na tym jednak się nie skończy. Każdy z sąsiednich dystryktów, do których mogą zawędrować, jak Shiroishi 71 w Tohoku, Tainai 84 w Hokuriku czy Koumi 95 w Chuubu, otrzyma list z prośbą o pomoc w ich wyeliminowaniu.

Wszystkie z nich mają opracowane własne metody zwalczania podobnych zagrożeń. Oczywiście, jedynie do obrony.

– To okrutne!

– Masz rację, więc przyprowadź ich do domu zanim do tego dojdzie. Daję ci trzy doby. Mogę opóźnić działania Rady Edukacji o taki czas. Musisz ich odszukać i odprowadzić do wioski, nawet jeśli miałabyś być zmuszona ich związać i ciągnąć za sobą przez całą drogę. Nie martw się jednak. Jestem pewna że sobie poradzisz.

Wyprostowałam się i wzięłam głęboki wdech. Nie było czasu na wahanie. Podjęłam już decyzję.

– Rozumiem. Wyruszę natychmiast.

– Powodzenia.

Wstałam, ukloniłam się i ruszyłam w stronę wyjścia. Mój wzrok padł na kota w czarno-szare pasy. Miał przymknięte oczy i kołysał nieznacznie ogonem na boki. Zdawało się, że chce się ze mną pożegnać, ale wyraz jego pyska przywodził na myśl dachowca, który zaraz rzuci się na śledzonego ptaka.

– Stałabym się ofiarą tych kotów, gdyby się pani nie zjawiała, prawda? – Stojąc już w drzwiach odwróciłam się i spojrzałam z wdzięcznością na Tomiko.

– Nie jestem tego taka pewna – uśmiechnęła się nieznacznie.

Nagle przyszło mi na myśl kolejne pytanie.

– Ale jak to możliwe, że jest pani tak... wpływowa?

Tomiko milczała przez dłuższą chwilę. Kiedy już zaczęłam się martwić, że spytałam się o coś niestosownego, wstała i podeszła do mnie.

– Odprowadzę cię do przystani. Później powiem twoim rodzicom, dokąd się udałaś.

– Dziękuję.

Opuściłyśmy razem siedzibę Rady Edukacji, jak wnuczka towarzysząca babci na spacerze. Nadal lekko prószyło a małe płatki śniegu wirowały wokół nas. Przez białą mgiełkę swojego

oddechu spojrzałam raz jeszcze na ten upiorny budynek. To, że wyszłam z niego żywa, było niemałym cudem.

– Jeśli chodzi o twoje wcześniejsze pytanie... – zaczęła Tomiko, wyciągając w górę ręce, żeby złapać trochę śniegu. Zauważyłam wtedy, że wydają się one zaskakująco wręcz młode. Na nadgarstkach nie było zmarszczek, przez skórę nie prześwitywały żadne żyłki. Płatki śniegi roztopiały się na dłoni Tomiko.

– Wydaje mi się, że to dobra okazja, żeby powiedzieć ci o kilku rzeczach – kontynuowała.

Przełknęłam ślinę i z niecierpliwością czekałam na dalszy ciąg.

– To prawda, że mam w dystrykcie dużą władzę. Prawdopodobnie mogłabym nawet zostać dyktatorem lub monarchą absolutnym gdybym miała takie życzenie.

Nie wydawało mi się, że przesadza. W końcu przywołała do porządku straszliwą Radę Edukacji jak grupkę niesfornych dzieci.

– Czy wiesz, co jest źródłem potęgi? Nie nauczono cię zbyt wiele o historii ludzkości, więc to może być trudne pytanie. W przeszłości, w celu zdobycia władzy wykorzystywano przemoc, strach, bogactwo, religijne pranie mózgu i podobne okropieństwa. Ja nie użyłam żadnej z tych rzeczy. Wszystkim, co miałam po swojej stronie był... czas.

– Czas? Nie rozumiem.

– Tak. Nie ma we mnie niczego wyjątkowego, ale miałam dużo czasu.

Dotarliśmy do przystani. Była już tam łódź, którą kazała przygotować dla mnie Tomiko. Zastanawiałam się, kiedy zdążyła wydać taki rozkaz. Dzięki klinowatemu kształtowi była przystosowana do szybkiej podróży, a na jej pokładzie leżała para nart, takich samych jak użyłam kilka dni temu.

– Saki, jak myślisz, ile mam lat?

To było trudne pytanie. Byłabym niegrzeczna, gdybym przeszacowała jej wiek, jednak i tak pewnie nie byłabym w stanie

domyślić się prawidłowej liczby, więc odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Jakież sześćdziesiąt... siedem?

– Dobry strzał, jestem zdumiona... Udało ci się prawidłowo odgadnąć dwie ostatnie cyfry. – Na twarzy Tomiko pojawił się uśmiech. – Mam dwieście sześćdziesiąt siedem lat.

– To niemożliwe – zaśmiałam się, biorąc jej słowa za żart.

Wyraz jej twarzy pozostał jednak niezmienny.

– Incydent z Bestią, kiedy byłam jeszcze pielęgniarką, miał miejsce dwieście czterdzieści pięć lat temu. Od stu siedemdziesięciu lat piastuję natomiast urząd przewodniczącej Komisji Etyki.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– A-ale jak pani...? – Nie byłam w stanie nawet dokończyć pytania.

– Jak to możliwe, że żyję tak długo? Dlaczego wyglądam tak młodo? Och, proszę, nie patrz na mnie jak na ducha.

Pokręciłam głową.

– Jeśli chodzi o używanie cantusu, moje oceny były do bólu przeciętne. W dzisiejszej Akademii Mędrców mogłabym nawet mieć problemy z niektórymi ćwiczeniami dla drugich klas. Potrafię jednak coś, czego nie opanował nawet Shisei. Mogę regenerować swoje telomery. Wiesz, czym one są?

– Nie.

– Rozumiem. Czyli nawet ta wiedza jest zakazana. Telomery to końcowe fragmenty naszych chromosomów. Za każdym razem gdy komórka się dzieli, jej telomery odrobinę się skracają, ponieważ nie mogą w pełni się odbudować. Kiedy zużyją się do końca, komórka traci zdolność podziału i jej śmierć staje się nieunikniona. Dlatego właśnie wielkość telomerów przenosi się bezpośrednio na długość życia. W podobny sposób czas płonienia świecy zależy od długości jej knota.

Ponieważ moja wiedza z biologii ograniczała się do tego, czego dowiedziałam się na kilku lekcjach, nie zrozumiałam w pełni tego, co

powiedziała Tomiko. Obraz, który nakreśliła był jednak wystarczająco jasny. Podwójna helisa DNA dzieli się, żeby mogło dojść do powstania nowej komórki. Za każdym razem jej nici ulegają skróceniu na końcach. Gdyby dało się przywrócić tym fragmentom ich początkową długość, wieczne życie stałoby się realną możliwością.

– Dlatego też – ciągnęła, rozbawiona – mimo, że Satoru jest ze mną spokrewniony, nie jest moim wnukiem. Nadal pamiętam narodziny mojego pierwszego wnuka, dwieście dziesięć lat temu. Muszę przyznać, że to powiedzenie, które mówi, że wnuki są piękniejsze od jakichkolwiek innych dzieci, jest całkowitą prawdą. Nie potrafię myśleć o nich inaczej jak o małych aniołkach. To odczucie nie przechodzi jednak na prawnuki i praprawnuki. Satoru dzieli ode mnie dziewięć pokoleń, więc posiada on zaledwie jedną pięćsetdwunastą moich genów. Nie chcę powiedzieć, że go nie kocham, ale nie mam poczucia, że jesteśmy spokrewnieni.

Skoro tak przedstawiała się sytuacja, możliwe, że mimo, iż Satoru zwracał się do Tomiko per babciu, sam nie do końca wierzył w taki stopień pokrewieństwa. Dodatkowo obydwie jego prawdziwe babcie najprawdopodobniej nadal żyły, co czyniło sytuację jeszcze dziwniejszą.

– Powiem ci o wszystkim kiedy wrócisz – dodała.

Zanim odplłynęłam powiedziała mi coś, co miało być prezentem pożegnalnym.

– Kiedy wrócisz, przygotuję dla ciebie nowe zadanie; musisz być znudzona zajęciami w Akademii Mędrców.

– Ja... Naprawianie rozbitej wazy może być całkiem przydatne.

– W rzeczy samej. Podzielę się jednak z tobą małą tajemnicą. Mentalny obraz, który trzeba sobie wyobrazić, żeby zregenerować telomery przypomina nieco ten niezbędny do zreperowania wazonu.

Kiedy przypomnę sobie, jaka byłam wtedy naiwna, oblewa mnie zimny pot. Dla kogoś z taką wiedzą osiągnięcie dowolnego celu lub spełnienie każdej zachcianki byłoby równie łatwe jak odebranie dziecku cukierka (całkiem niedawno natknęłam się na tę metaforę

w jednej ze starożytnych ksiąg i uważam, że jest ona naprawdę okropna. Czy ludzie kiedyś naprawdę robili coś takiego?).

W każdym razie, odbiłam od brzegu pełna energii. Moje czternastoletnie ciało było po czubek głowy wypełnione przeświadczeniem, że odnajdę Marię i Mamoru i bezpiecznie sprowadzę ich do domu.

Oczywiście uratowanie moich przyjaciół było najważniejszą kwestią, jednak nie mogę zaprzeczyć, że czułam płynącą z głębi umysłu ekscytację spowodowaną tym, że okazałam się wybrańcem.

Kiedy teraz o tym pomyślę, odkąd dowiedziałam się, że zostałam namaszczona na następczynię obecnej przywódczyni, najprawdopodobniej nieświadomie zaczęłam zbyt wczuwać się w rolę.

Na początku, podniecona tą informacją, próbowałam płynąć tak szybko jak się da. Po chwili kłujący wiatr ostudził jednak mój zapach. Samotne podróżowanie było niebezpieczne; Mamoru był tego dobitnym przykładem. Jeśli Squonk by go nie uratował, z pewnością byłby teraz martwy.

Zatrzymałam łódź. Potrzebowałam towarzysza. Nie wiedziałam jeszcze jak to zrobić, ale musiałam odnaleźć Satoru. Zastanawiałam się, gdzie on może teraz być. Wiedziałam, że po swoim powrocie został przesłuchany przez Radę Edukacji i prawdopodobnie skończyło się to dla niego dobrze tylko dzięki obecności Tomiko.

Żałowałam, że wyruszyłam w takim pośpiechu. Powinnam była poprosić Tomiko, żeby pozwoliła mi zabrać ze sobą Satoru. Zachodziłam w głowę czy nie byłoby warto wrócić do wioski. Coś jednak sprawiło, że się zawahałam.

Śnieg rozpadał się na dobre. Płatki topiły się w zetknięciu z wodą kanału. Ten widok coś mi przypominał.

Oczy Tomiko. Były ciemne i przepastne, tak jakby znała wszystkie tajemnice czasu...

Ostatecznie zdecydowałam się cofnąć, jednak kiedy miałam już zawrócić kajak, od strony wioski nadpłynęła inna łódka. W śnieżycy

ciężko było dostrzec sylwetkę osoby, która gnała mi na spotkanie, ale domyśliłam się, że musi używać takiej samej szybkiej łodzi jak moja.

– Hej – krzyknął siedzący w niej chłopak, machając w moją stronę, jakby chciał się upewnić, że z nikim mnie nie pomylił. To był Satoru.

– Tutaj! – odkrzyknęłam.

– Saki! Dzięki niebiosom, zdołałem cię doścignąć – wydyszał. – Obawiałem się, że będę musiał cię szukać w tej zamieci.

– Dlaczego? Nie byłeś przesłuchiwany przez Radę Edukacji?

– Byłem, wczorajszej nocy. Przesłuchiwała mnie ta okropna Hiromi Torigai. Już za pierwszym razem czułem, że nie jest dobrze, ale dziś znów mnie wezwali, więc praktycznie przygotowałem się na śmierć.

– Całe szczęście, że była tam twoja babcia.

Satoru prawdopodobnie nie był jeszcze świadomy prawdziwych relacji łączących go z Tomiko.

– Tak... Naprawdę ocaliła mi skórę. Musiałem jednak przesiedzieć cały poranek w jakimś malutkim pokoiku. Kiedy w końcu do mnie przyszła i powiedziała, że jestem wolny, kazała mi natychmiast wyruszyć za tobą. Nie miałem pojęcia, co się właściwie dzieje, więc byłem bardzo zaskoczony.

– Ale wiesz, co mamy zrobić, prawda?

– Musimy sprowadzić do domu Marię i Mamoru, zgadza się?

To było wszystko, co musiał wiedzieć.

W przeciwieństwie do poprzedniego razu, teraz wiedzieliśmy dokładnie gdzie znajduje się lodowa chatka Mamoru, więc podpłynęliśmy kanałem tak blisko, jak było to możliwe. Przebyliśmy całą drogę do obrzeży Dębowego Gaju, a następnie, wykorzystując dołączone do łódek narty, przetransportowaliśmy je przez dwustumetrowy pas lądu, który dzielił nas od rzeki. Wpadliśmy na kilka wystających skał, które z pewnością dość mocno podrapały dna kajaków, ale nie było czasu się tym przejmować. Gdy znaleźliśmy się w końcu na wodzie Tone, poczuliśmy dużą ulgę. Popłynęliśmy

jeszcze dwa kilometry w górę rzeki, gdzie ponownie dobiliśmy do brzegu.

Przywiązaliśmy łódzie do pobliskich głazów, nie chcąc, żeby odpłynęły podczas naszej nieobecności. Dopiero wtedy dostrzegłam wypalony na burcie symbol Boskiego Oka, któremu towarzyszył czerwony numer i zapisane w sanskrycie słowo. Pierwszy raz zetknęłam się wtedy z wyrazem „Ban”, symbolizującym Wajroczańę.¹ Te łódki najprawdopodobniej były własnością Komisji Etyki i z pewnością nigdy wcześniej nie obchodzono się z nimi tak brutalnie.

Założyliśmy narty i zarzuciliśmy plecaki.

– Ruszajmy.

Niedawno minęło południe, ale zaciągające się powoli chmurami niebo dawało fałszywe wrażenie, że słońce zajdzie lada chwila. Nadal padało, a lodowaty wiatr smagał naszą skórę jak bicz.

Zaczęliśmy wjeżdżać na strome zbocze, jakbyśmy podciągali się na niewidzialnej linie, wzbijając za sobą śnieżny tuman.

¹ Wajroczana (z sanskrytu - Wszechoświecający), w buddyzmie mahajana - najważniejszy z tzw. Buddów medytacyjnych, personifikacja Wszechprzenikającej Mądrości.

Rozdział 5

Mówiąc szczerze, jestem kompletnie pozbawiona wycucia kierunku.

Przypomniałam sobie, że gdy jakiś czas temu wędrowaliśmy z Satoru przez tunele dziwoszczurów, stwierdziłam, że nie najlepiej idzie mi zapamiętywanie sekwencji zakrętów i skrzyżowań. Tak naprawdę jest ze mną jeszcze gorzej. Smutna prawda jest taka, że gdyby nie stojące przy brzegach kanałów drogowaskazy, zgubiłabym się nawet we własnej wiosce.

– Hmm, czy na pewno idziemy w dobrą stronę?

Umiejętność orientacji w terenie Satoru, w przeciwieństwie do mojej, była wyśmienita, jak u gołębia pocztowego. Ponieważ szliśmy inną drogą niż poprzednio, nawet on musiał jednak co jakiś czas stawać i upewniać się, że nie zboczyliśmy z właściwej trasy.

– Wydaje mi się, że tak – odparłam.

Oczywiście nie miałam pojęcia, gdzie tak naprawdę jesteśmy, ale nie mogłam się do tego przyznać. Moja odpowiedź najwyraźniej rozżłościła Satoru.

– Nawet nie próbujesz udawać, że to cię obchodzi, prawda, Saki?

– Wcale nie.

– Więc jesteś pewna, że dobrze idziemy?

– Już ci mówiłam, że chyba tak.

Satoru pokręcił z niedowierzaniem głową i wymamrotał coś pod nosem, nie przerywając wspinaczki. Poszłam po jego śladach.

Podchodziłam do naszej misji z dużym optymizmem. Byłam przekonana, że gdy tylko dotrzemy do śnieżnej chatki Marii, osiągniemy już połowiczny sukces. Poza tym, fakt, że udało mi się połączyć siły z Satoru również był pokrzepiający.

– He? Wydaje mi się, że już tędy przechodziliśmy.

Kiedy zmierzając na szczyt ośnieżonego wzgórza, wyszliśmy z porastającego je bambusowego lasu, naszym oczom ukazał się znajomy widok.

– To nie tutaj? Przecież poprzednio zostawiliśmy w śniegu odciski nart.

Satoru obrzucił zawiedzionym wzrokiem sypki śnieg, który zalegał wszędzie wkoło. Przez ten jeden dzień napadało go wystarczająco dużo, żeby zupełnie przykrył nasze ślady.

– Nie, jesteśmy w dobrym miejscu. Jestem pewna!

Byłam przekonana, że się nie mylę.

– Czemu tak twierdzisz? – spytał powoli.

– Bo pamiętam tę okolicę.

– Naprawdę? Przecież zupełnie nie kojarzyłaś drogi, którą tu doszliśmy.

– No cóż, to była inna ścieżka... – Nie chciałam się przyznawać do swojej niepewności, więc musiałam przekonać Satoru, że jestem stuprocentowo pewna swojej racji. – Pamiętam to miejsce. Na przykład tamte drzewa. Widzisz? – spytałam, wskazując na rosnące nieopodal jarzębiny. – W tej okolicy są dość rzadkim widokiem, prawda? Dlatego je zapamiętałam.

– Jesteś pewna? – spytał Satoru z powątpiewaniem.

– Kojarzę też tamtą skałę. Wygląda jak zwinięty wąż, więc łatwo ją rozpoznać.

– Mi bardziej przypomina stertę gówna – burknął Satoru, lecz mimo to najwyraźniej mi uwierzył. – Skoro to dobra droga, musimy być już blisko celu.

Zaczęliśmy iść w poprzek zbocza. Nawet bez żadnych śladów, których moglibyśmy się trzymać, zaczęłam pomału rozpoznawać otoczenie. Podekscytowani tym, że udało nam się odnaleźć właściwą ścieżkę, przyśpieszyliśmy kroku.

Wzgórze stało się bardziej strome. Byliśmy już naprawdę wysoko i oglądana z góry dolina wydawała się leżeć na dnie

kolosalnej przepaści. Padający śnieg ograniczał widoczność, zmuszając nas do zmniejszenia tempa.

– Gdzie jest tamta płaska skała, na której zatrzymały się sanki Mamoru? – zapytał Satoru.

– Nie mam pojęcia. Nic nie widzę w tej zamieci – odparłam szczerze.

Na wzgórzu nie było żadnego charakterystycznego punktu, a padający śnieg sprawił, że wszystko wyglądało trochę inaczej niż poprzednio. Jeśli już mowa o śniegu, nie był to typowy, sypki puch a raczej mokra, biała breja, która przylepiała się do wszystkiego na co spadała.

Zatrzymaliśmy się.

– Niebezpiecznie jest iść dalej przy takiej pogodzie. Sami możemy skończyć na dnie jakiejś dziury – zauważył Satoru, pocierając o siebie swoje skostniałe palce.

– Jeśli będziemy szli powoli, nic nie powinno nam się stać.

– Ale to zajmie zbyt dużo czasu. Poza tym, jeśli mamy stąd spaść to stanie się tak niezależnie od naszego tempa.

Spojrzeliliśmy na siebie nawzajem. Każde z nas myślało, że druga osoba ma w zanadrzu jakiś sekretny plan, ale oczywiście to nie mogło być takie proste. Co gorsza, śnieżycą cały czas przybierała na sile i zerwał się porywisty wiatr. Nagie wzgórze nie zapewniało żadnej osłony i szybko uświadomiliśmy sobie, jak jest zimno. Jazda pod górę, nawet wspomagana cantusem, pozwalała utrzymać odpowiednią ciepłotę ciała. Duża utrata energii połączona z faktem, że od rana niczego nie zjadłam sprawiła, że zaczęło mi się kręcić w głowie.

– Najważniejsze jest, żebyśmy unikali skał, prawda? Nawet jeśli nie pójdziemy dokładnie tą samą trasą co wczoraj, powinniśmy być w stanie odszukać dalszą drogę.

Nadal pamiętałam wyraźnie wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę, ukrytą w zaroślach gdzieś w wyższych partiach wzniesienia.

– Masz rację, ale jak chcesz to zrobić?

– Może oczyścimy drogę cantusem?

– No jasne... Tak, to może zadziałać.

Zastanawiam się czy zmęczenie i niepokój mogło wpłynąć na naszą zdolność oceny sytuacji. Tamten plan był równie brawurowy jak pomysł Mamoru, żeby wjechać na strome wzgórze na dziecięcych sankach. Wyczyściliśmy fragment drogi przed nami, tworząc mentalny obraz olbrzymiej szuflki. Wyżłobiona w śniegu trasa wyglądała znacznie bardziej zachęcająco od oblodzonego urwiska, którym do tej pory szliśmy.

– W porządku, ruszajmy dalej!

Poszliśmy gęsiego wąską ścieżką. Uprzątnięty odcinek miał zaledwie jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów długości, więc już po kilku krokach musieliśmy zatrzymać się, żeby odgarnąć więcej śniegu.

Wtedy usłyszeliśmy złowrogi, skrzypiący dźwięk.

– Niech to szlag! Lawina!

Wmurowało nas w ziemię. Gdy teraz o tym pomyślę, wyrąbaliśmy poziomą alejkę w poprzek stromej góry. Obsunięcie się śniegu nie było niczym dziwnym.

– Nadciąga!

– Rozdziel jej czoło!

Przekrzykiwaliśmy się wzajemnie. Przerazająca biała fala, pędziła w naszą stronę z zamiarem pogrzebania nas żywcem, lecz tuż nad naszymi głowami została rozbita na dwie połowy przez parę niewidzialnych klinów. Śnieg potoczył się w dół, opadając w dolinę błyszczącą chmurą.

Nie trwało to dłużej niż minutę, ale mieliśmy wrażenie, że upłynęła cała wieczność.

Lawina minęła nas zanim zdążyliśmy się zorientować. Większa część pokrywającego górę śniegu została zmieciona; pozostałe wysepki białego puchu co jakiś czas obsuwały się i ześlizgiwały po zboczu niewielkimi strużkami.

– Nic ci nie jest, Saki?

– Nie. A tobie?

– Ze mną wszystko w porządku.

Oboje wyobraziliśmy sobie dwuspadowy dach. Rozdzielenie pędzących na nas mas śniegu było lepszym rozwiązaniem niż próba siłowego zatrzymania lawiny. Na szczęście działanie naszych cantusów nie nałożyło się na siebie, więc wyszliśmy z tego bez szwanku. Mimo to potrzebowaliśmy dłuższej chwili, żeby się uspokoić i przestać trząść z przerażenia.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni... Jakie to cholernie prawdziwe. Spójrz – wskazał na czubek wzgórza.

Teraz, kiedy cały świeży śnieg zsunął się w dół, na wzgórzu pozostała jedynie wczorajsza, silnie zmrożona warstwa. Gdybyśmy celowo wywołali lawinę zanim jeszcze zaczęliśmy się wspinać, nasza wędrowka byłaby znacznie łatwiejsza. Nie było jednak sensu roztrząsać przeszłości.

Już po kilku chwilach odnaleźliśmy miejsce ukrycia sanek Mamoru a także, nieco wyżej, krzaki przy których zaczynała się wydeptana przez zwierzęta ścieżka.

– Już prawie jesteśmy.

Nie było żadnych śladów, wzdłuż których moglibyśmy pójść, ale Satoru dobrze wiedział, w którą stronę musimy się udać. Na myśl o ponownym spotkaniu z Marią, bezwiednie przyspieszyłam.

– Co jest? – Satoru stanął bez ostrzeżenia, przez co prawie na niego wpadłam.

– Nie zatrzymuj się tak gwałtownie!

– Nie widzę śniegowych chatek.

– Niemożliwe...

Rozejrzałam się po rzadkim lesie. Wydawało mi się, że jesteśmy w dobrym miejscu, ale nie miałam całkowitej pewności. To mogło być jeszcze kawałek dalej...

Mój wzrok padł na dwie wysokie sosny, stojące trzydzieści metrów przed nami.

– Tam! Były między tamtymi drzewami.

Uważnie przeszukaliśmy całą okolicę. Nie było śladu po kryjówce, ale coś przykuło moją uwagę. To były kupki śniegu, tkwiące wysoko na pniu.

– Ktoś zniszczył chatkę i wyrównał śnieg. – Satoru potarł podbródek, co oznaczało, że intensywnie myśli. – Dziwoszczur nie mógłby tego zrobić. Tu było tak wiele śniegu, że nie dałby rady go zgarnąć i rozrzucić po okolicy. Musiała to zrobić Maria lub Mamoru, wykorzystując cantus.

Poczułam lekką ulgę. Wiedziałam przynajmniej, że wszystko było z nimi w porządku, kiedy opuszczali to miejsce.

– Ale którądy poszli? – spytałam, ponownie rozglądając się dokoła. Nigdzie nie było widać śladów stóp ani sanek.

– Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że upewnili się, że nikt nie zdoła ich wyśledzić.

– Myślisz, że zadali sobie trud by zatrzeć wszystkie ślady?

– Prawdopodobnie zostawili to dziwoszczurowi. Maria potrafi całkiem dobrze latać, nawet niosąc Mamoru.

Zaniemówiłam. Myślałam, że kiedy już tu dotrzemy, wszystko będzie dobrze. Uświadomiłam sobie wtedy, jak koszmarnie byłam naiwna.

– A może wrócili do domu? – spytałam z nadzieją.

– Gdyby tak było, nie musieliby zacierać śladów – Satoru szybko pozbawił mnie złudzeń.

Dokąd mogli pójść? Byłam bliska łez, ale zdołałam powstrzymać się od płaczu, bo nie chciałam okazać słabości przed Satoru.

– Musimy ich poszukać – powiedziałam, boleśnie świadoma tego, że nie mamy żadnego planu.

– Wiem, ale najpierw powinniśmy trochę odpocząć. Rozpalmy ognisko i przygotujmy obiad. Robienie czegokolwiek, umierając z głodu jest nienajlepszym pomysłem. – Satoru odgarnął śnieg z leżącej nieopodal kłody i otworzył swój plecak. Usiadłam obok niego, nieznacznie podniesiona na duchu.

Powrót do kajaków po naszych własnych śladach był olbrzymią stratą energii. Nie mogłam jednak narzekać. Nie zostało dużo czasu.

W miarę, jak schowane za chmurami słońce wędrowało na zachód, stawało się coraz ciemniej. Prawdopodobnie minęła już trzecia po południu. Śnieg właściwie przestał padać; jedynie od czasu do czasu na niebie pojawiał się pojedynczy płatek.

Nasze ślizgacze pruły przez ciemnoszarą wodę rzeki.

Przez ostatnie dwa lata nasze umiejętności sternicze znacznie wzrosły. Dzięki temu, a także dzięki konstrukcji łódek, zaprojektowanych specjalnie do szybkiej żeglugi, mogliśmy rozwinąć zawrotną prędkość. W pewnym momencie z pewnością przedostaliśmy się poza Świętą Barierę; ponieważ jednak lina nie rozciągała się nad wodą, nie zdołaliśmy wychwycić tej konkretnej chwili.

Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie znajduje się punkt, w którym zamierzaliśmy dobić do brzegu, jednak bazując na zdolnościach orientacji Satoru udało nam się dostać mniej więcej tam, gdzie zamierzaliśmy. Łodzie były wyposażone w mapy, jednak nie mieliśmy czasu na ich przestudiowanie, więc skupiliśmy się na jak najszybszym dotarciu do celu.

– Myślę, że to dobre miejsce – krzyknął do mnie Satoru, wyhamowując łódkę.

– Schodzimy na ląd? – spytałam.

Satoru wskazywał na szeroką plażę, na północ od której rozciągała się ośnieżona równina. To była całkiem dobra lokalizacja na rozpoczęcie poszukiwań.

Zacumowaliśmy kajaki i zeszliśmy na brzeg. Przez całą drogę korzystaliśmy z cantusu, więc miałam wrażenie, że zaraz wyparuje mi mózg. Bardzo chciałam się zatrzymać i trochę odpocząć, ale nie było na to czasu. Założyliśmy narty i bezzwłocznie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wspięliśmy się na wzniesienie, szybko docierając na jego szczyt, skąd zjechaliśmy łagodnym stokiem, pozwalając grawitacji

pchać nas w dół. Gdy dojechaliśmy do podnóża pagórka, pomknęliśmy naprzód, korzystając jedynie z siły naszych mięśni.

Po kilku minutach ból głowy zelżał, ale wytężony wysiłek fizyczny sprawił, że zaczęłam mieć problemy z oddychaniem. Dyszałam i sapałam, desperacko próbując zaczerpnąć jak najwięcej powietrza.

– Poczekaj... chwilę... – zdołałam z siebie wyrzucić, zatrzymując się.

Satoru zawrócił i cofnął się w moją stronę. – Wszystko z tobą w porządku? – zapytał.

– Tak... Po prostu potrzebuję chwili wytchnienia.

Osunęłam się na sypki śnieg i poczekałam, aż mój oddech się ustabilizuje. Chłodny wiatr dmuchał przyjemnie na rozgrzaną twarz, ale oziębiony pot stał się lepki i nieprzyjemny. Obłoczki pary uniosły się znad mojego ciała, gdy wysuszyłam go za pomocą cantusu.

– Postaraj się nie odwodnić – powiedział Satoru, nalewając mi do kubka herbatę ze swojego termosu.

– Dzięki – odparłam. Kiedy piłam, spojrzałam na Satoru. Po raz pierwszy dostrzegłam jaki jest uczynny i odpowiedzialny.

– Na co tak patrzysz?

– Tak tylko sobie pomyślałam, że jesteś bardzo miły.

Satoru gwałtownie się odwrócił.

– Hej, myślisz, że ich odnajdziemy?

– Na pewno – odparł z przekonaniem, odwzajemniając moje spojrzenie. – To nasza jedyna szansa, żeby ich uratować, racja?

– Tak.

– I właśnie dlatego zaszliśmy aż tutaj i... Hej, co się dzieje?

Zamarłam z kubkiem uniesionym do ust.

– Nie odwracaj się. Około stu metrów za tobą... Coś stoi na wzgórzu.

– Co to jest?

– Wydaje mi się, że dziwoszczur.

Widziałam jedynie szary cień, więc nie miałam pewności. To z pewnością nie był niedźwiedź ani małpa, ale sylwetka była zbyt niska na ludzką. Nie przychodziło mi na myśl żadne inne stworzenie tego wzrostu, które mogłoby żyć w okolicy.

Satoru zrobił użytek ze swojego specjalnego talentu i stworzył w powietrzu lewitujące lustro o powierzchni jakichś trzydziestu centymetrów kwadratowych a następnie ostrożnie wycelował je w kierunku znajdującego się za nim pagórka.

– Widzę go – odparł cichym, niskim głosem.

– Możemy go złapać?

– Jest za daleko. Musimy się przybliżyć.

Niespodziewanie słońce wyłoniło się zza chmur a jeden z promieni odbił się od lustra. Cień natychmiast zniknął.

– Zauważył nas – westchnął rozgoryczony Satoru.

– Musimy go schwytać!

Pomknęliśmy przez śnieg. Dzięki krótkiej przerwie wystarczająco zregenerowałam siły, przynajmniej na razie. Z pewnością nie dalibyśmy rady złapać dziwoszczura, gdybyśmy poruszali się tak nieśpiesznie jak dotychczas. Wspomagając się cantusem, żeby napędzić narty, pobiegliśmy najszybciej, jak się dało.

W mgnieniu oka przemierzyliśmy otwartą polanę i zaczęliśmy wspinać się na wzniesienie.

– Z jakiej on jest kolonii?

– Kto wie? Ale to chyba nie Squonk, prawda?

Dotarliśmy na szczyt, lecz po dziwoszczurze nie było ani widu ani słyhu. Nie mógł uciec dalej w tak krótkim czasie. Pospiesznie przeszukaliśmy ziemię w poszukiwaniu śladów.

– Tam!

Na drugim końcu pagórka widniały odcisnięte w śniegu odciski łap.

– Tędy! – zarządziłam i bezzwłocznie ruszyłam wzdłuż nich.

– Stój! – wrzasnął Satoru.

– Co? – spytałam, odwracając się. W tym samym momencie poczułam, jak tracę grunt pod stopami. Zdawało mi się, że pomału opadam, przebijając się przez śnieg.

Głos Satoru dochodził z bardzo, bardzo daleka.

Wszystko okryła ciemność.

Otworzyłam oczy. Nade mną znajdowało się plecione, bambusowe sklepienie. Służący za źródło światła papierowy lampion rzucał na sufit migotliwy cień. Znajdowałam się w niewielkim pomieszczeniu, leżąc na cienkim futonie. Obok mnie, na niewielkim palenisku płonął ogień, nad którym zwisał czajnik pełen bulgoczącej wody.

– Saki.

Głos Satoru. Odwróciłam się w jego stronę.

– Co się stało?

Satoru uśmiechnął się; najwyraźniej znaczyło to, że poczuł dużą ulgę. – Weszłaś na nawis śnieżny – odparł.

– Na co?

– Na nawis. To śnieg nagromadzony w pobliżu skalnego urwiska. Z góry wygląda jak normalne podłoże, ale tak naprawdę pod spodem niczego nie ma, więc gdy się na niego nastąpi, wpada się w przepaść.

– Spadłam aż na sam dół?

– Nie, zdołałem cię zatrzymać, zanim uderzyłaś o ziemię, więc chyba nie odniosłaś żadnych obrażeń. Mimo to martwiłem się, bo się nie budziłaś.

Poruszyłam lekko nogami i rękami. Zdawało się, że wszystko z nimi w porządku. Szok, który przeżyłam, sprawił, że czułam się strasznie zmęczona. Chciałam jedynie się przespać.

– Co to za miejsce?

– Zgadnij. Zaskoczę cię. Jesteśmy tam, gdzie chcieliśmy się dostać.

– Nie żartuj... Poważnie? To kolonia Łowików?

– Tak. Ta chatka nie jest zbyt duża, ale to tylko ich dom gościnny.

Satoru wyjaśnił, że dziwoszczur, którego ścigaliśmy był jednym z żołnierzy Łowików. Kiedy zobaczył, że spadam, szybko pognął złożyć raport dowództwu. Kolonia wysłała oddział ratunkowy, który mnie tu zaniósł.

– Czyli widziałeś się już ze Squealerem?

– Tak. Tyle, że ostatnio awansował i nosi teraz inne imię.

– Dzięki niebiosom, obudziłaś się – odezwał się ktoś stojący na zewnątrz pomieszczenia.

– Squealer!

Dziwoszczur, który wszedł do pokoju nie różnił się wyglądem od swoich pobratymców, jednak od razu poznałam jego głos. Dwa lata temu nosił podniszczoną zbroję, jednak teraz miał na sobie wygodną szatę z niedźwiedziego futra.

– Dawno się nie widzieliśmy, bogowie.

– W rzeczy samej. Dobrze ci się wiodło przez ten czas?

– Tak, dziękuję wam... Ostatni okres obfitował w szanse okazania bogom mojego oddania. Uhonorowano mnie poprzez nadanie mi najszlachetniejszego z imion – odparł, wypinając dumnie pierś.

– Co to za imię?

– Teraz jestem Yakomaru. Zapisuje się to znakami oznaczającymi „dzikiego lisa”.

Wyglądało na to, że Squealer... Yakomaru naprawdę awansował. Zważywszy, że był raczej strategiem aniżeli wojownikiem, zawarte w jego nowym imieniu słowo „lis” pasowało wręcz idealnie, kontrastując z „wilkiem”, będącym częścią przydomka Kiroumaru.

– W ciągu ostatnich dwóch lat kolonia Łowików nie szczędziła wysiłków, żeby się odbudować. Był moment, że nasze przetrwanie wisiało na włosku, jednak połączyliśmy się z kilkoma okolicznymi koloniami i teraz nasza liczebność sięga osiemnastu tysięcy

osobników. To wszystko było możliwe tylko dzięki boskiemu wstawiennictwu...

– Z przyjemnością posłuchamy później o życiu kolonii, ale teraz mamy sprawę niecierpiącą zwłoki – powiedział Satoru, przerywając już na samym początku coś, co zanosilo się na wyjątkowo długi wywód. – Potrzebna nam twoja pomoc.

– Ależ oczywiście – zgodził się Yakomaru zanim jeszcze zdążyliśmy wyjaśnić mu, o co chodzi. – Możecie liczyć na waszego sługę Yakomaru. Zawszę będę gotów położyć swoje życie na szali, żeby wspomóc dwoje bogów, którym jestem tyle dłużny...

Pomyślałam, że jest aż zbyt skwapliwy do pomocy, jednak tym razem takie zapewnienie było dokładnie tym, co chciałam usłyszeć.

– Gdzie znajduje się kolonia Trociniarek Czerwic? – spytałam, przechodząc prosto do sedna.

– Jakies cztery lub pięć kilometrów na północny zachód stąd. Nie są stowarzyszeni z kolonią Olbrzymich Szerszeni i odmówili dołączenia do naszej koalicji... To jedna z kilku pozostałych niezależnych kolonii. – W jego oczach pojawił się dziwny błysk. – Jakież to sprawy mogą sprowadzać was do Trociniarek Czerwic?

Spojrzelismy na siebie z Satoru. Potrzebowalismy pomocy Yakomaru, lecz oznaczało to, że, chcąc nie chcąc, musimy podzielić się z nim kilkoma informacjami.

– Szukamy naszych przyjaciół... – zaczął Satoru, próbując przedstawić naszą sytuację w taki sposób, by wyjawic jedynie tyle szczególow, ile było konieczne.

– Rozumiem! Czyli najszybszą metodą będzie odnalezienie osobnika o imieniu Squonk. Jutro z samego rana wyruszymy w stronę kolonii Trociniarek Czerwic i...

– Wolelibysmy wyruszyć teraz.

– Jestem świadomy waszej determinacji w tej kwestii, jednak nocna wędrówka ośnieżonymi ścieżkami jest niebezpieczna. Obawiam się także, że Trociniarki Czerwice mogłyby uznać nasze

nadejście za atak na swoją kolonię. Do wschodu zostały tylko cztery, może pięć godzin. Zalecałbym, żebyście zaczekali.

Byłam zdumiona faktem, że jest aż tak późno. Spojrzałam na Satoru, który skinął głową, zgadzając się na opóźnienie naszej wyprawy do poranka.

– Przygotowaliśmy dla was prosty posiłek. Nie jest specjalnie wystawny, ale mam nadzieję, że będzie wam smakował – powiedział Yakomaru. Na jego sygnał do pokoju weszły dwa dziwoszczury niosące lakierowane tace.

Przypomniał mi się ryżowy kleik, który jedliśmy przed dwoma laty w obozowisku Olbrzymich Szerszeni. Tym razem otrzymaliśmy rozgotowany ryż, zupę miso z łopianem, kolokazją i innymi ziołami, grillowaną rybę oraz bliżej niezidentyfikowane suszone jedzenie. Poza ostatnim, które okazało się pozbawione smaku i twarde jak stara podeszwa, posiłek był całkiem dobry.

Yakomaru został z nami, zarzucając nas pytaniami. Oczywiście było, że pod przykrywką uprzejmej rozmowy chce z nas wyciągnąć jak najwięcej informacji; trochę mnie to irytowało. Kiedy skończyliśmy się posilać, postanowiłam o coś go poprosić.

– Dwa lata temu także przybyliśmy tu w środku nocy, prawda?

– Tak, tak. Bardzo miłe wspominał tamten dzień. Jednak, żeby być dokładnym – to nie było tutaj.

– Wtedy złożyliśmy wizytę królowej, mimo, że było bardzo późno. Teraz też chciałabym się z nią przywitać.

Z jakiegoś powodu Yakomaru sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Och... Oczywiście – powiedział. – Przypuszczam, że królowa teraz odpoczywa, ale mimo to możemy do niej pójść. Jeśli sobie życzyacie, po drodze mogę oprowadzić was po kolonii. Zaszły u nas diametralne zmiany.

Wyszliśmy za nim z budynku dla gości i podążaliśmy w głąb kolonii. To, co ujrzeliśmy wprowadziło nas w osłupienie.

Dwa lata temu praktycznie wszystkie dziwoszczury żyły pod ziemią, a jedynymi budowlami na powierzchni były tamte niewielkie obronne struktury, przypominające mrowiska. Teraz jednak wszędzie wokół wyrastały niezliczone małe budyneczki, przez co kolonia wyglądała jak małe miasteczko.

Największa część domków miała kształt ogromnych grzybów. Yakomaru wyjaśnił, że powstają na bazie szkieletu z łądyg bambusa lub drewnianych desek, który następnie pokrywa się gliną bądź przetworzonym obornikiem. W owalnych drzwiach i oknach chatek paliły się światła.

– Ponieważ z natury jesteśmy podziemnymi stworzeniami, każdy domek łączy się z siecią tuneli.

Oprócz zwykłych domostw były tam też przeróżne fabryki, kuźnie, zakłady tkackie, barwierskie i papiernicze. Wszystkie roily się od pracujących na nocnej zmianie robotników. W samym sercu kolonii znajdowała się nawet wytwórnia cementu. Ściągany aż ze zboczy góry Tsukuba wapień był rozbijany, mieszany z gliną i wypalany w wysokich temperaturach. Następnie mieszano go z gipsem i raz jeszcze ścierano na proszek, uzyskując cement. Żeby uzyskać zaprawę murarską bądź beton dodawano jeszcze piasku albo żwiru.

– A oto pierwszy budynek, który wznieśliśmy w całości z betonu – powiedział Yakomaru, wskazując na centralnie położoną budowlę.

To była okrągła konstrukcja z płaskim dachem, mająca około trzydziestu metrów średnicy. Mogłam jedynie wpatrywać się w nią z oniemieniem. Od budynku biła dostojność typowa dla budowli wznoszonych w czasach starożytnej cywilizacji.

– To hala obrad kolonii – dodał z dumą Yakomaru. – Sześćdziesięciu reprezentantów naszej osiemnastotysięcznej populacji omawia tu wszystkie sprawy i podejmuje decyzje.

Jeszcze przed dwoma laty całe życie kolonii skupiało się wokół królowej. Zachodziłam w głowę jak to możliwe, że w tym krótkim czasie dokonały się tak drastyczne zmiany.

– Co stało się z gniazdem?

Po usłyszeniu tego pytania, ton jego głosu stał się bardziej ponury.

– Jak widzicie, przenieśliśmy większość naszych prac na powierzchnię. W związku z tym nieunikniona była pewna... rekonstrukcja gniazda – powiedział. – Do tego, kiedy dołączyły do nas inne kolonie, każda przywiozła ze sobą własną królową, więc musieliśmy zgromadzić je wszystkie w jednym miejscu.

– Chodźmy więc. Musimy zapytać królową też o to, co sądzi o naszym planie na jutro.

– Jak sobie życycie. Jednak o wszystkich sprawach kolonii decyduje teraz powszechne zgromadzenie. W tym przypadku ja, Yakomaru, będę was reprezentował i wezmę na siebie całą odpowiedzialność za...

– Jasne, jasne – prychnął Satoru. – Chcemy po prostu się z nią przywitać.

Siedziba królowych okazała się straszną rudera. Była dość duża, ale jej ściany były zrobione z utwardzonego błota a dach pokrywała zwykła słoma. Bardziej przypominała oborę niż cokolwiek innego.

Kiedy ciężkie wrota się uchyliły, powitał nas okropny smród.

Pamiętałam, że podczas naszej poprzedniej wizyty w gnieździe unosił się ostry, zwierzęcy odór. Ta woń różniła się jednak od wspomnianej – była mniej nieznośna i dało się w niej wyczuć delikatny aromat środka odkażającego, co w efekcie dawało jednak dziwnie nieprzyjemny zapach.

Mówiąc dokładniej, stare gniazdo cechował niezwykle silny zapach życia. W tym budynku pachniało natomiast jak w szpitalu do którego wrzucono cały zapas kompostu z Farm Lotosu. To była nienaturalna woń choroby.

Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy było długie i prostokątne. Przez całą jego długość biegł centralnie położony pasaż, po bokach którego ciągnął się rząd solidnych, drewnianych zagród, jednak było zbyt ciemno, by dało się dostrzec co znajduje się

wewnątrz nich. Podobieństwo do obory stało się jeszcze bardziej uderzające.

Wyczuwałam obecność wielu dużych stworzeń. Zaczęły się wiercić, gdy wyczuły nasz zapach, jednak nie wydawały żadnych innych dźwięków. Do naszych uszu nie dotarła nawet pojedynczy jęk czy westchnięcie, jednak wśród cichego szelestu dało się wyłapać pobrzękiwanie łańcuchów.

Spojrzałam z zaskoczeniem na Yakomaru, jednak jego twarz skryta była w mroku, więc nie mogłam stwierdzić, jakie emocje się na niej malują.

– Tu mieszka nasza królowa – oznajmił, zatrzymując się przed jednym z boksów.

– Wasza wysokość, minęło dużo czasu. Nazywam się Saki, kiedyś już się spotkałyśmy – powiedziałam cicho.

Nie uzyskałam żadnej odpowiedzi.

– Wejdźcie, proszę. – Yakomaru otworzył drzwi zagrody i żwawo wmaszerował do środka. Nieśmiało poszliśmy za nim. Dziwoszczur podniósł wysoko niesioną lampę, tak, że jej światło padło na skuloną w kącie królową.

Ujrzeliśmy znajome blade, pomarszczone ciało z krótkimi kończynami, przypominające gigantyczną gąsienicę.

Usłyszeliśmy ciche sapanie, przypominające dźwięki pracujących miechów. To był miarowy oddech kogoś pogrążonego we śnie.

Poczułam ulgę. Królowa po prostu spała. To nie było niczym dziwnym; w końcu już dawno minęła północ.

Delikatnie dotknęłam brzucha monarchini, uważając, żeby jej nie zbudzić. Poruszał się spokojnie w górę i w dół wraz z oddechem, tak, jak u większości dużych zwierząt.

– Śpij spokojnie.

Kiedy przechodziliśmy obok królowej, pogładziłam jej głowę. Na czole wyczułam dziwne zgrubienie. Władczyni się nie obudziła.

– Ostrożnie – powiedział zaniepokojony Satoru. – Może ugryźć nawet przez sen.

– Nic się nie stanie. Zorientuję się, jeśli zacznie się budzić.

Gdy to mówiłam, moja ręka przypadkowo osunęła się i trąciła oko królowej. Momentalnie odskoczyłam, odsuwając dłoń. Głowa monarchini zadrżała, ale oprócz tego nie było żadnej innej reakcji.

Poczułam nagły przypływ przerażenia. *To oko, które właśnie uderzyłam...*

– Skieruj tu światło! – rozkazałam.

Yakomaru wahał się przez chwilę, ale w końcu powoli się odwrócił.

Oczy królowej były otwarte. Nie spała. Jej źrenice były jednak zwężone, a wzrok pozbawiony był dawnego, inteligentnego błysku. Nie, było nawet gorzej. Gałki oczne władczyni były wysuszone; prawdopodobnie była ślepa. Szeroko otwarte usta ujawniały rząd kłów większych niż u przeklętych kotów; służące za posłanie siano nasiąkło kapiącą z nich nieustannie śliną.

Wyrwałam latarnię z rąk Yakomaru i zbliżyłam się do królowej. Po prawej stronie jej czoła widniała pooperacyjna blizna w kształcie litery V. Wybrzuszenie, które wcześniej wyczułam okazało się rzędem grubych szwów.

– Co to jest, do diabła? – zapytał zniesmaczony Satoru.

– Nie mieliśmy innego wyboru – odparł Yakomaru z przygnębieniem.

– Nie mieliście wyboru?! Co wyście zrobili królowej?!

Nasze krzyki niosły się echem po całym pomieszczeniu; szelest siana i terkot łańcuchów również przybrał na sile.

– Wszystko wyjaśnię. Wyjdźmy na zewnątrz.

Opuściliśmy budynek. Lodowaty wiatr sprawił, że przemarzałam do kości, ale wywiał paskudny smród, który do mnie przylgnął.

– Nie mieliśmy zamiaru potraktować jej tak okrutnie... Jakby nie patrzeć, to w końcu matka całej kolonii.

– W takim razie czemu to zrobiliście? – spytałam, przybliżając się do niego. Momentalnie, jakby znikąd, pojawiło się kilku żołnierzy, którzy od razu nas otoczyli. Yakomaru odprawił ich prostym ruchem głowy.

– Nie wyczuliście tego, kiedy ostatni raz się z nią widzieliście? Już od jakiegoś czasu królowa była psychicznie niestabilna.

– Tak... Zauważyłam to.

– We wszystkich koloniach królowe posiadają władzę absolutną. Nasza monarchini zawsze miała despotyczne skłonności, ale w miarę jak jej stan psychiczny się pogarszał, stawała się coraz brutalniejsza. Bez żadnej przyczyny atakowała niewinnych służących, regularnie ich raniąc i zabijając. Gdyby tego było mało, ogarnięta przybierającą na sile paranoją, w pewnym momencie wydała wyrok śmierci na wszystkich ministrów pracujących w pocie czoła nad odbudową społeczności po ataku Ziemnych Pająków. Gdybyśmy nie przerwali tego szaleństwa, wyginięcie całej kolonii byłoby zaledwie kwestią czasu.

– I to dlatego wy... – Satoru chciał coś powiedzieć, ale nagle zamilkł.

– Przysięgaliśmy bezwarunkową lojalność kolonii i królowej. Nie jesteśmy jednak narzędziami, które można wyrzucić. Inteligencją ustępujemy jedynie rządzącym tą planetą bogom i różnimy się od innych gatunków społecznych, takich jak mrówki czy pszczoły. Dlatego też, wszyscy, którzy podzielali ten pogląd i troszczyli się o przyszłość kolonii, z własnej woli zebrali się i stworzyli nowe stronnictwo.

– Stronnictwo?

– Tak. Musieliśmy stworzyć unię zdolną do prowadzenia negocjacji z królową. Chcieliśmy jedynie bronić swoich najbardziej podstawowych praw, jednak ona wpadła w straszliwy gniew. Potraktowała nasze działania jako akt zdrady... Nastął poważny kryzys, więc, choć z ogromną niechęcią, musieliśmy podjąć taką a nie inną decyzję.

– Decyzję...? Połączyliście siły i okaleczyliście królową. Nie lepiej byłoby po prostu ją zabić? – zapytał Satoru.

– Nie. Nie chcieliśmy całkowicie pozbawić jej władz umysłowych. – Yakomaru pokręcił głową. – Przeprowadziliśmy jedynie lobotomię czołowego płata. Po operacji poziom jej agresji znacząco się obniżył i stała się bardzo uległa. Nadal rodzi dzieci, przyczyniając się do rozwoju kolonii. Jestem pewien że jest teraz dużo szczęśliwsza niż wtedy, kiedy była spętana przez chorobę umysłową... Jednakże, jako, że nigdy wcześniej nie przeprowadzaliśmy podobnej procedury, popełniliśmy kilka błędów w zakresie zachowania należytej higieny. Krótco po zabiegu królowa nabawiła się zapalenia mózgu, co znacznie zmniejszyło jej zdolności intelektualne.

– To okropne... – wyszeptałam.

– Nie dziwię się, że tak myślicie. To przykre. – Yakomaru spojrzał na nas oskarżycielsko. – Czy wszystkie inteligentne istoty nie powinny mieć równych praw? Tak jest napisane w książkach, które otrzymałem od bogów. To podstawowa zasada demokracji.

Spojrzelśmy na siebie z Satoru. Oboje byliśmy osłupieni. Nigdy nie pomyślałabym, że kiedykolwiek usłyszę podobne słowa z ust któregoś z tych stworów.

– Nawet jeśli wasza królowa była despotką, to co z pozostałymi? Czy naprawdę musieliście zamknąć je w tamtej oborze jak zwykle zwierzęta?

– Wszystkie kolonie, które się do nas przyłączyły w pewnym stopniu zmagają się z takim samym problemem. Tylko królowe mogą się rozmnażać, więc ich istnienie jest dla nas niezbędne. Nie znaczy to jednak, że mają one prawo traktować całe kolonie jak swoją własność. Królowa ma być odpowiedzialna tylko za rozród; wysiłki intelektualne takie jak formowanie rządu czy dowodzenie armią są powierzane tym, którzy mają ku temu najlepsze predyspozycje. To są podwaliny nowej kolonii Łowików.

Dwie największe w tamtym czasie grupy, Łowiki i Olbrzymie Szerzenie, bazowały na zgoła odmiennych ideologiach. Kolonia Olbrzymich Szerszeni, licząca wtedy najwięcej, bo ponad trzydzieści tysięcy osobników, była dowodzona przez generała Kiroumaru, który pomimo swojej pozycji był bezwzględnie lojalnym w stosunku do królowej konserwatystą, stojącym na straży tradycyjnej struktury społecznej. Jak wszystkie tradycjonalistyczne kolonie, Olbrzymie Szerzenie pozostawały na stanowisku, że królowej należy się pełnia władzy.

Z drugiej strony, Łowiki, łącząc się w bardzo niekonwencjonalny sposób z innymi koloniami, poświęciły czystość linii rodowej, jednak w zamian błyskawicznie urosły w siłę. Konserwatywne kolonie postrzegały je jako heretyków i straciły do nich zaufanie.

– Rozumiem... No cóż, nie mieliśmy zamiaru wtrącać się w wasze sprawy – oznajmił Satoru, przeciągając się. – Jestem trochę zmęczony. Prześpijmy się do świtu.

– Jak sobie życzycie. Natychmiast każe przygotować łóżka. – Oczy Yakomaru błyszcząły w ciemności upiornym, zielonkawym blaskiem.

Wróciliśmy do domu dla gości. Kiedy Yakomaru sobie poszedł, Satoru rozpałił ogień na palenisku i usiadł przy nim, żeby ogrzać sobie stopy.

– Nie podoba mi się to – westchnął głośno. – Naprawdę bardzo mi się to nie podoba.

– Dlaczego?

– Ta kolonia, Squealer... Yakomaru. To wszystko jest naprawdę śliskie. To co mówią zdaje się kompletnie nie odpowiadać temu, co myślą. Nie potrafię im zaufać.

– Ale jeśli chcemy odnaleźć Marię i Mamoru, potrzebujemy ich pomocy.

– To prawda – odparł. Nadal wyglądał na bardzo zatroskanego. – Widziałas jednak, co zrobili królowej, swojej rodzonej matce! Jak można było dopuścić się czegoś tak okropnego?

– Wiesz, to nie tak, że mnie to nie zaszokowało... – Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie pustki we wzroku monarchini. – Jednak, niezależnie od tego jak elokwentne są dziwoszczury, to w końcu nadal tylko zwierzęta. Nieważne jak bardzo ich emocje przypominają nasze, one nie są takie jak my. W tym, co powiedział Yakomaru była pewna logika. Zrobili po prostu to, co musieli zrobić, żeby przetrwać.

– Brzmisz, jakbyś ich broniła.

– Nie bronię – odparłam, prostując się. – Czy ludzie nie przenoszą zawsze swojego systemu wartości na zwierzęta? Mówimy na przykład, że mają one miły charakter albo że matki poświęcają się dla dobra dzieci, lecz to nie do końca prawda. Czytałam starożytne książki dotyczące zachowań zwierząt.

Ponieważ moja matka była bibliotekarką, przypuszczalnie miałam znacznie większe szanse na dorwanie się do zakazanych tomów niż ktokolwiek inny.

– A zawarta w nich wiedza bywa naprawdę zaskakująca – kontynuowałam. – Weźmy na przykład hipopotamy. W ilustrowanych książeczkach dla dzieci, jakie czytaliśmy w Szkole Harmonii były obrazki tych zwierząt gromadzących się w krąg wokół swojego martwego towarzysza, rzekomo po to, żeby go opłakiwać. W rzeczywistości hipopotamy to wszystkożerne zwierzęta które otaczają gromadą martwe osobniki tylko po to, żeby się nimi pożywić.

– Fakt, też o tym wiem.

– Najgorsze są jednak kangury. Wszyscy myślimy, że trzymają w swoich torbach młode po to, żeby je chronić.

– No i?

– Gdy kangurzyca jest ścigana przez drapieżnika, wyrzuca swoje dziecko, żeby napastnik się nim zajął, dając jej szansę na ucieczkę.

Satoru zmarszczył czoło.

– Podobnie zachowują się minoshiro – zauważył. – Tyle, że one są chyba jeszcze okropniejsze, bo pozbywają się części własnego ciała.

– Dlatego właśnie uważam, że ocenianie dziwoszczurów przez pryzmat ludzkiej etyki jest błędem.

Satoru klasnął w dłoń.

– Hmm... Nie to miałem na myśli, mówiąc, że nie podoba mi się ich zachowanie. Bardziej chodzi mi o to, że wydają się wręcz zbyt podobne do ludzi.

– To prawda, że nie istnieje żaden podobny do nich gatunek zwierząt.

Satoru wyjrzał za drzwi, upewniając się, że nikt nie podsłuchuje nas z zewnątrz.

– Odnoszę dziwne wrażenie, że próbują zastąpić ludzi – powiedział. – W Kamisu 66 nie ma zbyt wielu betonowych budynków. Kiedy zobaczyłem ich fabryki, jedyną myślą jaka przyszła mi do głowy było to, że mają zamiar przywłaszczyć sobie kulturę, którą my odrzuciliśmy.

– Zastanawiam się, gdzie Yakomaru zdobył całą tę wiedzę. Mówił, że gdzieś o tym przeczytał. – Pytanie, które teraz wypowiedziałam na głos, dręczyło mnie już długi czas.

– Ale to niemożliwe, żeby trafił na książkę, która wyjaśniłaby wszystko, co chciał wiedzieć.

– No więc skąd to wie?

– To tylko domysły, ale przypuszczam, że mógł złapać fałszywego minoshiro. Możliwe, że ich hipnoza świetlna nie działa na dziwoszczury.

Im dłużej rozmawiałam na ten temat z Satoru, tym większe czułam przerażenie. Samo istnienie dziwoszczurów zawsze uważałam za złowrogie i niepokojące, jednak dopiero teraz dotarło do mnie, jak poważna jest to kwestia.

– Dziwoszczury nie planują chyba zająć miejsca ludzi, prawda?

– To raczej niemożliwe, czyż nie? Przecież tylko nasza dwójka byłaby w stanie zetrzeć na proch całą kolonię.

Nie sposób było odmówić mu racji. Niezależnie od tego, jak bardzo dziwoszczury rozwinęłyby swoją kulturę, nie mogło być mowy o tym, by zdołały przeciwstawić się ludziom posiadającym cantus. Poza tym, w końcu to nasza moc była tym, co doprowadziło już raz do upadku wysoko rozwiniętej cywilizacji, Mimo to nie potrafiłam jednak pozbyć się dziwnego uczucia niepokoju.

– Hej, jak myślisz, co by się stało z człowiekiem, gdyby Yakomaru zrobił z nim to samo co z królową?

Satoru zmarszczył brew.

– Myślę, że stałby się równie upośledzony jak ona... Wiem jednak do czego zmierzasz. Gdyby udoskonały swoją technikę, mogłyby stworzyć ludzi, którzy pozostawaliby pod ich kontrolą.

Poczułam zimny dreszcz.

– To byłaby... Coś takiego to byłaby prawdziwa katastrofa.

– Nie, nie wydaje mi się – odparł Satoru. – Płat czołowy odpowiada za naszą wolę i kreatywność, co oznacza, że steruje także cantusem. Ktoś, komu odebrano by wolną wolę i wyobraźnię, nie mógłby w ogóle użyć swojej mocy. Myślę, że nie trzeba się tym przejmować.

W tym miejscu przerwaliśmy konwersację, postanawiając poświęcić kilka kolejnych godzin na choć odrobinę snu. Ja miałam wcześniej okazję, żeby się wyspać, lecz o Satoru nie można było powiedzieć tego samego.

Kiedy opadłam na przygotowane przez dziwoszczury posłanie, przez mój umysł przetoczyła się seria koszmarnych myśli. Podobnie jak Satoru, od samego naszego przybycia do kolonii Łowików miałam wrażenie, że dzieje się tu coś bardzo złego.

Zanim jednak zdążyłam dociec konkretnej przyczyny mojego niepokoju, pogrążyłam się w mrokach snu.

Rozdział 6

Kiedy się obudziłam, niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać.

Dom gościnny był zbudowany z bambusowych łądyg, między którymi rozpięto płaty zwierzęcej skóry; bardziej przypominał namiot niż właściwy dom, więc kiedy wstało słońce, przez jego ściany zaczęło przesączać się światło.

Satoru zdążył już wstać i właśnie się ubierał.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Satoru skinął lekko głową.

– Dasz radę trochę się pospieszyć? – spytał. – Wygląda na to, że wszystko już gotowe do drogi. Już od jakiegoś czasu słyszę na zewnątrz krzątanie.

Wokół naszego schronienia z pewnością skrętnie uwijała się cała zgraja dziwoszczurów.

– W porządku – odpowiedziałam.

Zerwałam się z łóżka i zaczęłam się pospiesznie szykować do drogi. Założenie zimowych ubrań, zasznurowanie butów i upewnienie się, że w plecaku mam wszystkie niezbędne rzeczy nie zajęło mi łącznie nawet dwóch minut.

Kiedy wyrzałam na zewnątrz ujrzałam czyste niebo i słońce wyglądające dopiero nieśmiało zza horyzontu. Po chwili mój wzrok przykuł jeden z dziwoszczurów, zdejmujący z pobliskiego drzewa coś, co wyglądało na suszone jedzenie. Miało około metr długości, było białe i zdecydowanie za duże na rybę. Gdy przyjrzałam się dokładnie, zrozumiałam, że to wysuszony minoshiro.

Wymieniliśmy spojrzenia z Satoru.

– Nie wierzę, że one to jedzą!

W Kamisu 66 minoshiro były uznawane za święte stworzenia; ich widok w roli pokarmu nappełnił mnie niewypowiedzianą zgrozą.

– Minoshiro teraz hibernują. Wygląda na to, że dziwoszczury celowo wykopują je z ziemi, żeby zrobić sobie z nich przekąski.

Satoru wyglądał jakby połknął coś wyjątkowo kwaśnego. Postanowiłam nie mówić mu, że niezidentyfikowanym składnikiem naszej wczorajszej kolacji również mógł być suszony minoshiro.

– Witajcie, bogowie – rzucił na powitanie Yakomaru, idąc w naszą stronę. – Niedługo wyruszamy. Zechcielibyście przedtem zjeść śniadanie?

Straciłam apetyt na samą myśl o tym, czym możemy zostać poczęstowani.

– A co z wami? – spytałam.

– Możemy posilić się po drodze. To jednak tylko wojskowe racje żywnościowe, więc nie są zbyt smaczne.

– W porządku, my też możemy jeść podczas marszu.

– Jak sobie życzycie.

Yakomaru miał na sobie futrzany płaszcz z kapturem narzucony na nitowaną zbroję. Podobnie jak dwa lata temu, w jego wyglądzie wciąż było coś z urzędnika; teraz jednak znacznie bardziej przypominał generała. Zadał w zawierzony na szyi gwizdek. Na tą komendę dwie setki dziwoszczurów uformowały bojowy szyk.

– Hej, czy naprawdę musimy brać aż tylu żołnierzy? – spytał zdumiony Satoru.

– Możemy natknąć się po drodze na jakieś niespodziewane zagrożenie. Przygotowaliśmy się na każdą możliwość i zrobimy wszystko, żeby ochronić bogów – odparł Yakomaru podniosłym tonem.

Dołączyliśmy do niego w środku formacji. Najwidoczniej trzymanie się z tyłu byłoby równie niebezpieczne co marsz w pierwszym rzędzie. Ze wszystkich stron otaczali nas umięśnieni ochroniarze dzierżący ogromne tarcze.

Większość zalegającego wokół kolonii śniegu została uprzątnięta i tylko od czasu do czasu pod butami chrupotały nam drobinki lodu. Założyliśmy swoje narty dopiero, kiedy dotarliśmy do ośnieżonej równiny. Również żołnierze mieli na nogach buty, które kształtem przypominały uproszczone biegówki; przebierając żwawo

swoimi krótkimi nogami mogli osiągać całkiem przyzwoitą prędkość. Ponieważ jednak poruszałibyśmy się znacznie szybciej, gdybyśmy użyli cantusu, Satoru zaczął się denerwować powolnym tempem.

– Nie możemy iść trochę szybciej? Jeśli powiecie nam, gdzie dokładnie jest nasz cel, pójdziemy przodem.

– Bardzo mi przykro, lecz nie potrafimy poruszać się tak sprawnie jak bogowie. Do kolonii Trociniarek Czerwic jest już jednak niedaleko, więc proszę, zostańcie z nami. Jeśli się oddzielicie, nie zdołamy się do was dostać, jeśli stanie się coś złego.

Nie mieliśmy więc wyboru. Musieliśmy powoli iść przez równinę, trzymając się blisko dziwoszczurów. Podczas marszu rozdano racje żywnościowe. To były lekko słodkawe placuszki, podobne trochę do dużych kapsulek albo słodkich pierożków. Wydawały się zrobione z mąki ryżowej i nadziewane miodem, orzechami i suszonymi śliwkami. Tak jak mówił Yakomaru, ich smak nie był nadzwyczajny ale przynajmniej nie zawierały mięsa minoshiro.

Niedługo płaski obszar się skończył i musieliśmy wspinać się na całą serię pagórków. Zastanawiałam się, czemu ta okolica jest taka pofałdowana, jednak nie dało się dostrzec, co kryje się pod warstwą śniegu. Mogłam jedynie stwierdzić, że gleba na tych wzniesieniach jest inna niż wszędzie wokół; nawet rosnące tu rośliny wydawały różnić się od typowej flory.

Nagle przez mój umysł przewinęła się dziwna wizja.

To był efekt bitwy pomiędzy użytkownikami cantusu, podczas której jedna ze stron spróbowała pozbyć się przeciwnika jednym ruchem. Wystrzelili gigantyczny głaz a impet jego uderzenia dokonał zniszczeń większych nawet niż broń jądrowa starożytnej cywilizacji. Przypominało to uderzenie meteoru o dziesięciokilometrowej średnicy, takiego jak ten, który sześćdziesiąt pięć milionów lat temu spowodował wyginięcie dinozaurów.

To było absurdalne. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że coś takiego nie mogło mieć miejsca. Oczywiście, energia cantusu

teoretycznie jest nieskończona, ale w rzeczywistości jej wyzwolenie i wykorzystanie podlega wielu ograniczeniom. Żeby zadziałać na coś mocą, trzeba najpierw wyobrazić sobie idealny obraz zmian, jakie mają nastąpić w danym obiekcie. W przypadku czegoś tak wielkiego i złożonego jak meteor ogranicznikiem cantusu byłby sam umysł. Zrobienie czegoś takiego było równie abstrakcyjne jak stworzenie realistycznego obrazu pękającej na pół Ziemi.

Jednak... Spojrzałam na pagórki, zachodzące na siebie jak szczyt w górskim łańcuchu. Nawet początkujący, tacy jak my, byli w stanie wywoływać lawiny i miotać dość dużymi głazami. Nie ulegało wątpliwości, że tacy geniusze jak Shisei Kaburagi potrafili przemieszczać całe wzgórza.

– Już niedługo dotrzemy do celu – ogłosił Yakomaru. – Za następnym zakrętem dojrzycie umiejscowioną w połowie wysokości klifu fortecę Trociniarek Czerwic.

To, co po chwili ukazało się naszym oczom bardziej przypominało ogromny monolit, aniżeli klif. Miał sto pięćdziesiąt metrów wysokości i dwukrotnie tyle szerokości. Skalna ściana była tak stroma, że nie osadził się na niej nawet płatek śniegu i tak gładka, że wspinaczka wydawała się właściwie niemożliwa.

– To tylko klif... Nigdzie nie widzę żadnej fortecy – powiedział Satoru, mrużąc oczy.

– Spójrzcie tam. Widzicie? Za tamtą wyrastającą ze skały sosną jest ukryte wejście do jaskiń.

Niczego nie dostrzegłam, nawet gdy skupiłam wzrok na punkcie, który wskazywał Yakomaru. Nic się nie poruszyło a wokół panowała całkowita cisza.

– Kolonia Trociniarek Czerwic przez ostatni rok wydrążyła w tej skale rozległą sieć tuneli, zmieniając całą górę w swoją warownię.

– Ale którędy tam wchodzi? – Nadal niczego nie widziałam.

– Nie jestem pewien. Ich tunele muszą ciągnąć się aż pod ziemię, a dodatkowe wejścia są dokładnie ukryte. Przypuszczam jednak, że zazwyczaj po prostu zrzucają linową drabinę i korzystają

z przejścia przez tamtą jaskinię. Teraz jej nie widać, bo musieli ją zwinąć, kiedy zauważyli, że nadchodzimy. Odmawiają rozmów z innymi koloniami i chowają się gdy nadchodzi ktoś obcy... Muszą jednak wiedzieć, że tym razem to im się nie uda.

Yakomaru zawołał jednego z żołnierzy idącego w tylnym szeregu. Nie wyglądał aż tak dziwnie jak mutanty Ziemych Pająków, ale miał duże, napęczniałe mięśnie klatki piersiowej i niósł wielką tubę przypominającą megafon.

Dziwoszczur przez minutę słuchał rozkazów Yakomaru, po czym odwrócił się w stronę fortecy Trociniarek Czerwic i zaczął wyrzaskiwać swój komunikat. Był tak głośny, że wydawało mi się, że zaraz popękają mi bębenki. Satoru i ja szybko zatkaliśmy uszy dłońmi, patrząc z niedowierzaniem na dziwoszczury, które stały spokojnie jak gdyby nigdy nic.

Krzyk trwał bez końca; hałas był tak duży, że myślałam, iż zaraz wywoła lawinę. Trociniarki Czerwice nie odpowiadały.

– Cóż, najwyraźniej musimy im pokazać, że przyszliśmy tu w ważnej sprawie.

Na komendę Yakomaru łucznicy ustawili się w szyk i unieśli swoje łuki.

– Czekaj, nie przyszliśmy to walczyć! – zaprotestował Satoru.

– Zgadzam się. Jednak oni z premedytacją ignorują nasze wezwania. Musimy nieźle przestraszyć te nędzne, aroganckie miernoty, żeby zmusić je do posłuchu.

Yakomaru wydał rozkaz,

W jednej chwili tuziny strzał wyleciały po paraboli w kierunku rosnącej na klifie sosny. Większość odbiła się od skalnej ściany, ale kilka wbiło się w pień a jedna nawet utkwiała w szczelinie między gałęziami.

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Na kolejne polecenie Yakomaru łucznicy ustawili się w rząd i wystrzelili ponownie; tym razem jednak owinęli groty swoich strzał szmatami nasączonymi oliwą i podpalili je. Tysiące ognistych pocisków przecięło powietrze.

Płomienie szybko ogarnęły całe drzewo, z którego momentalnie uniosły się smugi czarnego dymu. W końcu coś się poruszyło. Zobaczyłam, jak ktoś rzuca śniegiem w stronę sosny, jakby chciał ją ugasić od swojej strony.

– Jestem przekonany, że zrozumieli swoją sytuację. Spróbuję jeszcze raz ich wezwać.

Yakomaru uniósł prawą dłoń. Dziwoszczur trzymający megafon ponownie zaczął piskliwie krzyczeć. Pomimo, że nie rozumiałam, co mówi, jego ton był tak agresywny, że zaczęłam mieć wątpliwości czy to aby na pewno tylko prośba o rozmowę.

W końcu nadeszła odpowiedź pod postacią gradu strzał.

Z licznych otworów strzelniczych rozmieszczonych w skale wokół sosny wyleciała cała fala pocisków. Wrogie strzały bardzo szybko nadlatywały z góry prostym torem. Żołnierze Yakomaru nie mieli ze sobą tarcz, więc po chwili musieliby przypominać poduszcзки do szpilek. Tak się jednak nie stało, ponieważ w samą porę deszcz pocisków został rozproszony przez niewidzialną barierę.

Satoru i ja zmieniliśmy kierunek lotu strzał, wykorzystując taki sam sposób jak wtedy, gdy zatrzymaliśmy lawinę. Pomyślałam, że nasze jednoczesne działanie było imponujące. Najprawdopodobniej znaleźliśmy się już tak długo, że praktycznie potrafiliśmy czytać sobie wzajemnie w myślach.

Trociniarki Czerwice milczały, najwyraźniej zdeorientowane. Strzały mogły zostać zwiane równie dobrze przez silny podmuch wiatru, jednak nawet największy huragan nie sprawiłby, że rozpierchną się nagle we wszystkie strony, będąc już niecały metr od celu.

– Macie moją dozgonną wdzięczność! Dziękuję wam z całego serca za uratowanie moich wojowników. – Yakomaru głęboko się pokłonił. – Jak jednak widzicie, Trociniarki Czerwice to kolonia bezbożnych pogan! Nakazę im raz jeszcze zastosować się do moich poleceń, ale jeśli nadal będą je ignorować, konieczne może okazać się użycie bardziej stanowczych metod.

Nie czekając na naszą odpowiedź, Yakomaru ponownie wysłał żołnierza z megafonem przed szereg. Nadal nie wiedziałam o czym mówi, ale ton jego głosu był jeszcze surowszy i groźniejszy niż poprzednio. To z pewnością nie było zwykłe wezwanie do zawieszenia broni i podjęcia pertraktacji, a jakiś rodzaj ultimatum.

Trociniarki Czerwice najwyraźniej nie miały pojęcia jak zachować się w obliczu tak niespodziewanej sytuacji, jednak, tak, jak się spodziewałam, kilku ich żołnierzy dało się sprowokować i w stronę dziwoszczura z megafonem pofrunęła pojedyncza strzała.

Tym razem nie zdołaliśmy z Satoru idealnie zsynchronizować naszych ruchów. Obydwoje spróbowaliśmy zatrzymać ten sam pocisk. W efekcie przestrzeń wokół niego zdeformowała się a na niebie pojawił się tęczy wzór. Takie coś działo się zawsze, kiedy działanie dwóch cantusów nakładało się na siebie. Skutki takiego kontaktu mogły być niewyobrażalnie niszczycielskie. Natychmiast się zatrzymaliśmy, a strzała zniknęła w rozbłysku światła.

To była z naszej strony przesadzona reakcja. Z perspektywy Trociniarek Czerwic musiało to wyglądać na celową demonstrację siły.

– Bogowie! Trociniarki Czerwice wystrzeliły strzałę, wiedząc, że jesteście między nami! To bluźnierstwo! Proszę, ześlijcie na nie boską zemstę!

– Ale to była tylko jedna strzała... Może wystrzeliły ją przypadkowo? – Nie miałam chęci robić tego, co chciał od nas Yakomaru.

– Jedna strzała wystarczy! Samo podnoszenie broni na bogów jest zbrodnią tak poważną, że powinno być ukarane zniszczeniem całej kolonii... Poza tym, mamy impas. Jeśli Trociniarki Czerwice nie będą nas słuchać, nie damy rady odnaleźć waszych przyjaciół.

– Dobra, rozumiem. – Satoru jako pierwszy podjął decyzję.

– Nie bądź zbyt surowy – poprosiłam go.

Bądź co bądź, Squonk uratował życie Mamoru. Wymordowanie jego kolonii z pewnością nie byłoby godną zapłatą za ten czyn.

– Wiem. – Satoru odwrócił się w stronę fortecy i wyszeptał swoją mantrę. Rosnąca przy wylocie jaskini sosna złamała się z suchym trzaskiem, a kryjący się za nią żołnierz znieruchomiał z przerażenia.

W następnej chwili rozległ się donośny huk a skalna ściana pękła, jakby uderzona pięścią olbrzyma. Odłamki kamieni pofrunęły we wszystkich kierunkach. Później było jeszcze jedno uderzenie. I kolejne, i następne... Skały wokoło otworów strzelniczych zostały roztrzaskane na proch a w klifie powstała ogromna dziura.

– Wystarczy! Przestań! – krzyknęłam.

Usłyszałam dobiegające z góry głośnie wołanie. Brzmiało tak samo jak wrzaski Łowika z megafonem, ale wydawało się w jakiś sposób bardziej rozpaczliwe.

Podwładny Yakomaru odpowiedział coś ostro przez swoją tubę. Z jaskini wyłoniło się kilka dziwoszczurów. Połowa z nich nosiła łuskowe zbroje, więc przypuszczałam, że muszą być wysokimi rangą oficerami. Żołnierz idący w środku dodatkowo miał narzuconą na plecy pelerynę. Później dowiedziałam się, że był to Quichy, przywódca kolonii Trociniarek Czerwic. Pozostałe dziwoszczury opuściły linową drabinkę.

Na chwilę odwróciłam wzrok i ujrzałam Yakomaru, na twarzy którego malował się dziwny grymas, wyglądający na mieszankę gniewu z niepohamowaną radością.

Nie wydaje mi się, by opisywanie szczegółów spotkania Yakomaru z Quichym miało większy sens. Najprościej mówiąc, ten pierwszy odnosił się do swojego rozmówcy jak zwycięzca do przegranego. Nie rozumiałam ani słowa z tego co mówią, ale najwyraźniej Yakomaru wysunął całe mnóstwo jednostronnych żądań. Sytuacja, w jakiej znalazł się Quichy zmusiła go do przystania na wszystkie te warunki, niezależnie od tego jak absurdalne by nie były.

Coraz bardziej zniecierpliwiony Satoru przerwał w końcu ich wymianę zdań i przypomniał, że chcemy tylko dowiedzieć się, co się

stało z Marią i Mamoru. Na rozkaz Quichy'ego przyprowadzono do nas Squonka. Dziwoszczur cały się trząsł, ale nasz widok trochę go uspokoił.

– Squonku, pamiętasz nas?

– Kikikiki... T-tak, bogowie.

– Dokąd poszli Maria i Mamoru? – spytał Satoru, przechodząc od razu do sedna.

– Ni-niewim, b-bogowie.

– Nie wiesz? Nie byłeś z nimi?

– B-błem. Ale oni poszli d-daleko.

Zamknęłam oczy, nie mogąc powstrzymać ogarniającej mnie rozpacz.

– Daleko? Dokąd?

– Ni-niewim.

– Nie znasz nawet kierunku?

–N-nie, b-bogowie. Ale mam l-list.

Squonk wyciągnął spod swojej postrzępionej szaty kopertę i podał mi ją. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru. Rozpoznałam pismo Marii.

Do mojej ukochanej Saki.

W chwili, gdy czytasz te słowa, Mamoru i ja jesteśmy już najprawdopodobniej bardzo daleko.

Nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś będę musiała pisać taki pożegnalny list do mojej najdroższej przyjaciółki i kochanki. Szczerze, z głębi serca Cię przepraszam.

Proszę, nie szukaj nas.

Gdy piszę te słowa, ogarnia mnie dziwny smutek. Pamiętam, jak zezłościł się, gdy przeczytaliśmy list Mamoru, tak bardzo podobny do tego. Obawiam się jednak, że nie potrafię przekazać tego w inny sposób.

Bardzo pociesza mnie myśl, że tak się o nas martwisz. Doskonale rozumiem też, jak musisz się teraz czuć. Gdybyśmy zamieniły się miejscami, ja pewnie tak samo umierałabym ze zgrzyoty. Jednakże, nie było innego wyjścia.

Nie możemy już mieszkać w Kamisu 66. Dorośli z wioski nam na to nie pozwolą. Gdyby chodziło tylko o mnie, jakoś bym to zniosła, ale Mamoru został jużznaczony jako ten, który nie zasługuje na życie. Od takiej decyzji nie ma odwrotu. Nie wydaje Ci się czasem, że jesteśmy traktowani nie jak ludzie, ale jak produkty, które można zniszczyć w przypadku wykrycia w nich wady? Kiedy garncarz otwiera swój piec i ocenia gotową ceramikę, przeznaczając do roztrzaskania wszystkie wyroby, które mają rysy albo są trochę zniekształcone. Jeśli taki los ma być wszystkim, co nas czeka, wolimy raczej uciec, mając nadzieję, że zdołamy znaleźć dla siebie inną przyszłość.

Mówiąc szczerze, pragnęłam byś poszła ze mną. To niezaprzeczalna prawda. Jednakże, Ty nie jesteś taka jak my. Mówiłam Ci już, że jesteś niewyobrażalnie silna. Nie mam tu na myśli tężyzny fizycznej, silnej woli ani ducha. Tak właściwie to łatwo Cię przestraszyć i szybko wybuchasz płaczem; tą cześć Ciebie też kocham. Nie ma jednak znaczenia z jakimi problemami przyjdzie Ci się mierzyć; nawet jeśli każda komórka Twojego ciała zostanie pochłonięta przez rozpacz, zawsze się pozbierasz. Nie można Cię złamać.

Jestem pewna, że dasz radę dalej żyć i stać się wartościowym członkiem społeczeństwa.

Z Mamoru jest jednak inaczej. Jeśli go opuszczę, nie przeżyje długo. Proszę, zrozum mnie.

Kiedy opuściłam wioskę, wszystko stało się dla mnie jasne. Nasze społeczeństwo jest spaczone, nie uważasz? Czy mieszkańcy dystryktu, którzy zabijają własne potomstwo, żeby utrzymać pokój i harmonię mają prawo uważać się za ludzką społeczność? Zgodnie z tym, co powiedział nam fałszywy minoshiro, cała nasza historia jest

splamiona krwią. Nie wydaje mi się jednak aby obecne społeczeństwo było choć trochę lepsze od ludzi żyjących w mrocznych wiekach przeszłości. Kiedy przypomnę sobie wydarzenia, jakie miały miejsce w wioskach, myślę, że wiem, co nas wypacza.

To głęboki strach dorosłych przed dziećmi.

Prawdopodobnie to zawsze była przyczyna. To oczywiste, że widok następnego pokolenia – zwłaszcza gdy chodzi o ich własne potomstwo – niszczącego wszystko, co z wielkim wysiłkiem zdołali zbudować, jest dla nich nie do zaakceptowania.

Dorośli z Kamisu 66 patrzą jednak na swoje dzieci w jeszcze inny sposób. To jak obserwowanie rządka jaj i nerwowe oczekiwanie – czy wyklują się z nich anioły, czy też – w jednym przypadku na milion – demon?

Opierając się tylko na intuicji i przeczuciach, setki spośród tysięcy takich jaj są niszczone i usuwane. Nie zgadzam się na to by być jednym z nich.

Kiedy podjęłam decyzję o opuszczeniu domu, w którym się urodziłam i wychowałam, poczułam się przytłoczona smutkiem i samotnością, jednak gdy pomyślałam o tym, co poczują inni, uświadomiłam sobie ważną rzecz. Gdybym została wyeliminowana, moi rodzice na początku z pewnością byliby zdruzgotani, lecz z czasem zapomnieliby o mnie, tak samo jak Twoi rodzice o swojej starszej córce.

Wierzę, że nasze relacje są inne. Jestem pewna, że jeśli chciano by się mnie pozbyć, nie zostawiłabyś mnie na śmierć. Gdybyś to Ty znalazła się w niebezpieczeństwie, Satoru i ja zrobilibyśmy wszystko, żeby Cię ocalić.

Mieliśmy jeszcze jednego przyjaciela. Nie pozwolono nam nawet pamiętać jego imienia. On, X, również przyszedłby nam z pomocą, prawda?

Właśnie dlatego ja jestem teraz zobowiązana pomóc Mamoru, choć fakt, że muszę rozstać się z Tobą i Satoru jest niewyobrażalnie bolesny.

Na szczęście mamy nasz cantus, potężne narzędzie, dzięki któremu zdołamy przetrwać, nawet gdy będziemy zmuszeni do życia w dziczy. Za tą jedną rzecz jestem wdzięczna wioskom i Akademii Mędrców.

Od teraz Mamoru i ja zaczniemy razem nowe życie.

Na koniec mam do Ciebie prośbę. Jeśli dorośli będą się o nas pytać, powiedz im, że zginęliśmy. Zamierzamy uciec bardzo daleko, do miejsca, gdzie nie sięga ich moc; będę jednak spała znacznie spokojniej, wiedząc, że o nas zapomnieli.

Z głębi mego serca płynie wiara, że nadejdzie jeszcze dzień, w którym się spotkamy.

*Na zawsze Twoja,
Maria.*

Łzy kapały mi z oczu jeszcze długo po tym, jak skończyłam czytać.

W kopercie była jeszcze jedna kartka – narysowany przez Mamoru szkic przedstawiający Marię i mnie, szczęśliwe i roześmiane.

Satoru wziął ode mnie list i zaczął go czytać, obejmując moje ramię. Próbowałam powstrzymać szloch, ale łzy same cisnęły mi się do oczu.

Przecucie, że już nigdy nie zobaczę Marii szybko przerodziło się w pewność.

Po tym, jak odkryliśmy, że śnieżna chatka została zniszczona, Squonk pozostawał naszym jedynym tropem; dlatego właśnie poprosiliśmy kolonię Łowików o pomoc w odszukaniu go. Nawet pomimo tego, że nie ufaliśmy do końca Yakomaru, sytuacja była tak beznadziejna, że musieliśmy chwytać się każdej możliwej pomocy.

Ostatecznie okazało się jednak, że to my zostaliśmy wykorzystani. Podpuszczenie dwójki skrajnie zdesperowanych nastolatków było dla przebiegłego dziwoszczura dziecinną igraszką.

Łowiki – owady, od których kolonia wzięła swoje imię, określa się tak z powodu brutalnych metod jakich używają do chwytania innych insektów i wysysania ich wnętrzości. Znaki tworzące ich nazwę, 塩屋, wzięły się od białej końcówki odwłoka samców. Innym gatunkiem zwierząt z taką cechą charakterystyczną są wielkie muchy ptakołowne.¹ W starożytnych encyklopediach próżno szukać wzmianek o tych stworzeniach, więc musiały pojawić się w ostatnim tysiącleciu. Nawet dziś nieczęsto się je spotyka poza niewielkim obszarem tuż poza Świętą Barierą. Są dużo większe od łowików, osiągają długość od trzynastu do osiemnastu centymetrów. Ich ciała są podłużne, jak u ważek i posiadają liczne przetchlinki, umożliwiające im efektywną wymianę gazową. Z tego powodu, gdy byliśmy dziećmi nazywaliśmy te owady tysiącokimi ważkami.

Wielkie muchy ptakołowne mają tendencję do zasadzania się za pniami drzew w oczekiwaniu na wróble, drozdy, szlarniki, bogatki, szpaki i inne niewielkie ptaki. Atakują niczego nie spodziewającą się ofiarę od tyłu, przecinając jej rdzeń przedłużony swoimi podobnymi do mieczy szczękami. Następnie piją krew ptaka tak długo, aż stają się tak ciężkie, że nie są w stanie wznieść się w powietrze. Istnieją pogłoski, mówiące, że zdarza im się atakować nawet kruki.

Podczas gdy nazwa kolonii Łowików zdawała się symbolizować początkowe ogniwo łańcucha pokarmowego, ich zamiłowanie do przeciwstawiania się swoim panom czyniło z nich raczej drapieżców, takich jak wielka mucha ptakołowna, aniżeli ofiary.

Po tym jak w końcu udało nam się dostać do kolonii Trociniarek Czerwic, trop Marii nagle się urwał.

Nawet pomimo żarliwych obietnic Yakomaru, który zarzekał się że zrobi wszystko by pomóc nam w poszukiwaniach, nie mieliśmy

¹ 塩屋大鳥引 (shioya ootorihiki) – nazwa nieistniejącego gatunku, wymyślonego na potrzeby powieści (dosłownie: wielki łowca ptaków o białej końcówce); nazwa dzieli trzon 塩屋 oznaczający biały koniuszek ze słowem 塩屋虻 (shioya abu), określającym gatunek owada z rodziny łowikowatych, *Promachus yesonicus*, od którego w oryginalnym wydaniu nazwano kolonię; ta swojego rodzaju gra słów wyjaśnia, dlaczego Saki porównuje kolonię łowików do obu tych gatunków.

pojęcia do jakiego stopnia można mu wierzyć. Oczywiście również było, że nie zmieści się w wyznaczonym przez Tomiko czasie. Obietnica odszukania i przyprowadzenia Marii i Mamoru, którą jej złożyłam, stawała się coraz mniej realna do spełnienia.

Satoru i ja omówiliśmy naszą sytuację i opracowaliśmy plan awaryjny.

– Jak sobie życzycie! Zostawcie resztę swojemu słudze Yakomaru

Nie mieliśmy innego wyjścia jak zastosowanie się do pozostawionych w liście wskazówek Marii. Musieliśmy powiedzieć dorosłym, że obydwójce zginęli. Kiedy spytałam Yakomaru, czy poświadczy naszą wersję, zgodził się bez wahania. Byłam przekonana, że nie pochwali naszej prośby o okłamanie Komisji Etyki, ale przystał na nią tak ochoczo, że wydało mi się to wręcz podejrzane.

– Myślę, że najbardziej wiarygodnie zabrzmiałoby, jeśli powiemy, że zostali przygnieceni przez lawinę. Ponieważ nikt nie wie, gdzie dokładnie ich zmiotło, znalezienie ciał będzie bardzo trudne.

To rzeczywiście była najlepsza możliwa historyjka. Śmierć spowodowana upadkiem nieczęsto przytrafia się ludziom, którzy władają cantusem, jednak pomyśleliśmy, że prawdopodobnie uwierzą nam jeśli powiemy, że Maria zginęła, próbując ratować Mamoru, który zsunął się ze swoich sanek.

– To może zająć nam trochę czasu, ale myślę że uda nam się zdobyć kilka kości. Jeśli pokażemy je Komisji, uznają to za dowód na słuszność naszych słów.

Zamarliśmy.

– O jakich kościach mówisz? – Niby skąd chcecie je wziąć? – spytał Satoru ostrym tonem.

– N-nie, nie to miałem na myśli! To nieporozumienie... – wymamrotał pobladły Yakomaru. – Oczywiście zdobycie kości bogów byłoby niemożliwe. Wybaczcie mi tę zniewagę, ale niektóre z naszych kości są wizualnie podobne do waszych. Wyjątkowo wysoki dziwoszczur jest mniej więcej takiego wzrostu jak młody bóg,

więc jeśli ostrożnie wyszlifujemy kamieniami kości takiego osobnika, to...

– Dość! Rozumiem. Pozostawiam ci resztę – wtrąciłam się szybko, żeby go uciszyć.

Słuchając Yakomaru poczułam się, jakbyśmy naprawdę planowali zbeczczyć ciała naszych przyjaciół.

– Wedle rozkazu. Pozwólcie mi się wszystkim zająć.

Nie wiedziałam czy Yakomaru zrozumiał wtedy jak się czuję, czy też nie, jednak ukłonił się z szacunkiem.

Nasza dwudniowa wyprawa w górę rzeki spełzła na niczym. Nie potrafiłam powstrzymać westchnięcia. Odrzuciliśmy ofertę Yakomaru i nie pozostaliśmy w kolonii na kolejną noc. Przyszykowaliśmy się do drogi i wyruszyliśmy w stronę miejsca, w którym stały lodowe chatki. Zgodnie z tym, co usłyszeliśmy od Squonka, to właśnie tam rozstał się z Marią.

Nałożyliśmy narty, kierując się do zatoczki, w której stały nasze kajaki. Sądząc po pozycji słońca, minęło właśnie południe, jednak w ogóle nie czułam się głodna. Nie było to spowodowane podwyższonym poziomem adrenaliny; nawet mimo, że czułam jak niecierpliwość wypala mi od środka klatkę piersiową, moje emocje były równie chłodne jak okoliczne ośnieżone wzgórza.

Nie było sposobu, by dowiedzieć się w którą stronę wyruszyli Maria i Mamoru. Nawet o tym wiedząc, nie mogłam przestać jej szukać.

Czułam się jak biegacz, konkurujący z przeciwnikiem, który ma ogromną przewagę. Nawet pomimo tego, że zwycięstwo było niemożliwe, musiałam kontynuować swój daremny wysiłek dopóki, dopóty zawody nie dobiegną końca.

Kogo, na niebiosa, próbowałam oszukać? Czy próbowałam sama przed sobą udawać, że jestem osobą, która nigdy nie opuści najdroższej przyjaciółki? A może robiłam to jedynie dlatego, że był ze mną Satoru?

Spojrzałam na niego. Wydawał się spokojny, ale nie byłam w stanie stwierdzić, co naprawdę odczuwa. Czy podobnie jak ja starał się za wszelką cenę nie wpaść w bezdenną otchłań rozpacz? Czy też może myślał o czymś zupełnie innym?

Kiedy zorientowałam się, że biegniemy tylko w dwójkę, narta przy nartcie, zrozumiałam czego rzeczywiście się tak boję.

Wyłączając moich rodziców, Akademia Mędrców była dla mnie całym światem. Spośród jej uczniów, jedynymi osobami których mogłam nazwać prawdziwymi przyjaciółmi byli moi koledzy z grupy pierwszej. Ci sami, którzy po kolei znikali aż w końcu pozostaliśmy tylko ja i Satoru.

Nie – pomyślałam panicznie. – Nie chcę tracić już więcej przyjaciół.

Nie chciałam by wciąż odchodziły osoby, które kocham.

Sylwetka Satoru rozmyła się i stała się zarysem kogoś innego.

Bez namysłu wyciągnęłam dłoń. Znajoma postać, zagrzebana w grobowcu mojego umysłu, na sekundę stanęła mi przed oczami. Nie było to jednak nic więcej jak iluzja, która zniknęła równie szybko jak się pojawiła.

Musiałam wrócić do zimnej, trudnej rzeczywistości. Do świata, w którym było tylko nas dwoje.

Maria prawdopodobnie czuła się tak samo osamotniona jak ja. *Nie – pomyślałam – ja nie mogę się nawet do niej porównywać. Ona porzuciła dosłownie wszystko i odeszła.*

W przeciwieństwie do wczorajszej paskudnej pogody, dziś niebo było czyste a oślepiające promienie słońca odbijające się od śniegu sprawiały że ledwo dało się na niego patrzeć. Mimo tej przyjaznej aury, nie mogłam otrząsnąć się z ponurego nastroju, który otoczył mnie jak burzowa chmura.

Dzięki niesamowitemu zmysłowi orientacji Satoru szybko odnaleźliśmy nasze ślizgacze. Zdjęłam narty a Satoru popchnął obydwie łodzie na wodę.

– Ja posteruję, możesz trochę odpocząć – oznajmił, odwracając się w moją stronę.

– Dlaczego? Nie jesteś zmęczony? – spytałam, choć muszę przyznać, że zrobiłam to jedynie z przyzwyczajenia.

– W porządku, dam sobie radę – odparł, odpychając mnie delikatnie.

Straciłam jakąkolwiek ochotę na protestowanie i położyłam się na wznak na dnie łódki, szepcząc jedynie ciche „dziękuję”.

Prawie natychmiast zaczęłam drzemać. Miałam wrażenie że zaraz przelecę przez pokład wprost w ręce kappy¹, czekającego już żeby mnie zaciągnąć na dno rzeki.

Pograżyłam się we śnie. Na początku nawiedziły mnie jedynie niespójne koszmary, spowodowane stresem i przemęczeniem, ale szybko ustąpiły miejsca dziwnym potworom, wypełzających z głębin mojej podświadomości.

Były tam demony, kręcące się bez celu i wymachujące długimi, podobnymi do owadzich czułkami. Nad głową przeleciała mi grupka jednookich goblinów, za którymi pozostała strużka pyłku opadającego z ich motyli skrzydeł.

Tuż obok wlekły się do przodu przykute do siebie łańcuchami dusze potępieńców, które mogły jedynie wydawać z siebie żałosne pojękiwania. Nie były w stanie uciec nawet gdyby tego chciały, ponieważ do brzucha każdej z nich przyssany był olbrzymi, w pełni kontrolujący gospodarza krwi worek.

Ciała półprzezroczystych, różowawych minoshiro falowały kusicielsko. Ich czułki były penisami we wzwodzie; leżące u ich podstaw lechtaczki kurczyły się i rozszerzały jak morskie ukwiały.

Po przeciwnej stronie bezgłośnie przemykał bóg śmierci pod postacią cienia ogromnego kota.

¹ Kappa (jap. 河童?) – japoński złośliwy demon wodny. Kappy przebywają w rzekach i jeziorach oraz w lasach i na pustkowiach, zawsze w pobliżu zbiorników wodnych. To istoty bardzo złośliwe, nawet o skłonnościach morderczych (wabią dzieci do rzek, żeby je tam utopić, często wysysając organy wewnętrzne, lub – według innych wersji – krew, wątrobę lub siłę życiową przez odbyty). Obwinia się je także o porywanie dzieci i gwałcenie kobiet.

Dziwoszczury węszyły w powietrzu swoimi ohydnyymi pyskami. Ich oblicza były całkowicie gładkie i pozbawione wyrazu, za to z licznych fałdek na skórze wyzierały błyszczące ostre zębiska oraz niezliczone, wirujące bez ustanku oczy.

Najstraszniejsze były jednak Bestie; dzieci z twarzami pokrytymi przez plamy zaschniętej krwi. W spowodowanej rzezią ekstazie ich gałki oczne wywinęły się w tył tak, że widać było tylko ich białka.

Potworne stworzenia wiły się i kotłowały.

Był też on, na samym końcu, za wszystkimi tymi okropnościami.

Do połowy skryta w cieniu sylwetka chłopca. Widziałam całe jego ciało od stóp aż po szyję, jednak głowę kompletnie otulał mrok.

Chłopiec bez twarzy. Desperacko próbowałam go zawołać, lecz nie byłam w stanie przypomnieć sobie jego imienia. Najwyraźniej mnie rozpoznał, jednak niczego nie powiedział. Ostatnio mogłam go usłyszeć, ale go nie widziałam. Tym razem było dokładnie na odwrót.

Zdołałam jednak zrozumieć wiadomość, którą chciał mi przekazać – obawę i troskę.

– Nie rozumiem. Co powinnam zrobić?

Nie odpowiedział.

– Proszę, powiedz mi! Co, na niebiosa, mam robić?

Ponownie nie usłyszałam nawet słowa; nie mogłam również zobaczyć jego ust, lecz w jakiś dziwny sposób wiedziałam co mówi.

Stałam jak wryta w ziemię. Nie mogłam pojąć, dlaczego powiedział coś takiego. Jego następne słowa były jednak jeszcze gorsze; uderzyły mnie z siłą piorunu.

Nie, to niemożliwe... Co ty wygadujesz? To takie okrutne...

Próbowałam protestować, ale nie mogłam się odezwać.

– Saki! Saki! – Usłyszałam wołający mnie głos.

Otworzyłam oczy, wyrwana gwałtownie ze snu.

– Saki, śnił ci się koszmar?

Ujrzałam Satoru, wpatrującego się we mnie z zatroskaną miną.

– Tak... Można tak powiedzieć.

Byłam cała zlane potem. Próbowałam się uśmiechnąć, ale prawdopodobnie nie wyszło mi z tego nic poza nienaturalnym grymasem.

– Jesteśmy na miejscu. Stąd musimy już pojechać na nartach. – Satoru wyglądał na zmartwionego. – Chcesz tu poczekać? Myślę, że dam sobie radę sam.

– Idę z tobą – odparłam, kiwając przecząco głową.

– W porządku... Łapię.

Najwyraźniej uświadomił sobie, że nie da rady mnie przekonać.

W okolicy miejsca, w którym stały chatki nadal były widoczne liczne nasze ślady. To stąd wczoraj wyruszyliśmy. Wszystkim, co osiągnęliśmy podczas minionej doby było zatoczenie ogromnego koła i powrót do punktu wyjścia.

Nie, to było nawet gorsze. Wczoraj wiedzieliśmy, że czeka nas ciężka podróż, lecz byliśmy też pewni, że zdołamy odnaleźć Marię. Teraz nie było już żadnej nadziei.

Mimo to włożyliśmy narty i ruszyliśmy przed siebie, licząc na łut szczęścia.

Drugie poszukiwania również okazały się bezowocne.

Maria i Mamoru zdołali najwyraźniej odkopać sanki i zabrać je ze sobą, jednak nie znaleźliśmy żadnych śladów płóz nawet po przeczesaniu całego obszaru w promieniu dziesięciu metrów od miejsca, w którym były zagrzebane. Maria musiała przewidzieć, że ludzie z miasteczka przeszukają najbliższą okolicę i przetransportować je w powietrzu. Kiedy już wystarczająco się oddalili, mogła opuścić je na ziemię i zacierać za sobą ich ślady.

Kiedy patrzyłam na słońce, chowające się za zachodnim górskim łańcuchem, nagromadzona we mnie cicha rozpacz i rezygnacja wzięły nade mną górę.

– Saki... – Satoru objął mnie od tyłu ramieniem. – Nie płacz... Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że z oczu kapią mi łzy. Nie wiedzieć czemu, wcześniej nie poczułam nawet ich ciepła na policzkach.

– Jutro będziemy jeszcze mieli trochę czasu. Gdy tylko wstanie słońce, pójdziemy na północny zachód. Może tam znajdziemy jakieś pozostałości ich śladów.

Wiedziałam, że po prostu próbuje mnie pocieszyć. Żeby ich znaleźć, musielibyśmy być trzema książętami z Serendipu.¹

Mimo to jego słowa nadal były pokrzepiające.

Przygotowaliśmy się do spędzenia nocy wśród ośnieżonych pól. Przynieśliśmy ze sobą namioty z łodzi, jednak postanowiliśmy pójść w ślady Squonka i zbudować chatkę z śniegu.

Najpierw nagromadziliśmy leżący wokół biały puch, zmieniając go w twardy, ubity kopiec, który później wydrążyliśmy. Myślałam, że mając cantus, zrobimy to sprawniej i porządniej od Squonka, jednak zadanie okazało się zdumiewająco trudne. Tak właściwie to łatwiej byłoby chyba ubijać śnieg łopata. Prawdziwym problemem było jednak to, że nie byliśmy ani trochę skupieni na budowaniu.

Kiedy kryjówka była już gotowa, nadszedł czas na przyrządzenie kolacji. Nie miałam apetytu, ale jako, że od śniadania nic nie jadłam, zmusiłam się do przełknięcia kilku kęsów.

Satoru wyrzeźbił ładny kamienny garnek, napełnił go śniegiem i zawiesił nad ogniem. Włożył do środka ryż i miso a następnie zaczął przygotowywać kleik.

Jedliśmy w ciszy. Satoru próbował wciągnąć mnie w rozmowę, jednak nie wykrzesalam z siebie wystarczająco dużo energii, żeby mu odpowiadać. Pomimo tego nie przestawał jednak mówić.

– ...Chciałbym więc złapać fałszywego minoshiro i sprawdzić, na ile prawdziwy jest jego opis z książki...

Nie próbowałam celowo go ignorować, jednak do mojego umysłu docierały tylko urywki zdań.

¹ Trzech książąt z Serendipu – bajka perska, której bohaterowie obdarzeni byli darem przypadkowego znajdowania cennych rzeczy, nawet jeśli ich nie szukali.

– ...Czy to nie oczywiste, że coś tak potężnego jak cantus nie może być napędzane niewielką ilością energii powstającej podczas metabolizmu glukozy? Dlatego autor wysunął dwie hipotezy na temat źródła tej mocy. Pierwsza mówiła, że za każdym razem gdy ludzie używają cantusu, czerpią energię bezpośrednio ze słońca. Nie do końca rozumiem, w jaki sposób to działa, ale zgodnie z tą teorią z cantusu można korzystać tylko znajdując się w Układzie Słonecznym. Zakładając, że ktoś by go opuścił, nie mógłby korzystać z mocy, lub, przynajmniej musiałby aktywować ją w zupełnie inny sposób. Interesujące, prawda? Oczywiście, jako że tej teorii nie da się ani potwierdzić, ani obalić, równie dobrze może być całkowicie wyssana z palca...

– ...Korzystanie z psychokinezy, czyli inaczej mówiąc – cantusu, kradnie energię ze Słońca i obniża jego entropię, sprawiając, że gwiazda szybciej się starzeje. Przewidywany czas życia Słońca to jakieś pięćset tysięcy lat¹, ale jeśli będziemy korzystać z cantusu, jego śmierć może nastąpić znacznie szybciej...

– ...Druga z hipotez jest jeszcze trudniejsza do zrozumienia. W mechanice kwantowej istnieje efekt obserwatora, który mówi, że samo patrzenie na obiekt sprawia, że zachodzą w nim zmiany. Dotyczy to wszystkiego co nas otacza – od skali mikroskopowej do makroskopowej. To tak, jak mówił fałszywy minoshiro; istnienie cantusu zostało pierwszy raz udowodnione podczas eksperymentu, który przeprowadził tamten naukowiec...

– ...Krótko mówiąc, czas, przestrzeń i materia są sprowadzane do prostej informacji. Cantus ma niewyobrażalną moc dowolnego zmieniania każdej z tych informacji, które tworzą Wszechświat. Kiedy spojrzysz na to z tej strony, można dojść do wniosku, że możliwe jest nagięcie całego kosmosu do swojej woli. To rozległa, zapętlona koncepcja. Najpierw tworzone są podstawowe drobinki tworzące wszystko co nas otacza, poczynając od kwarków, przez pierwiastki

¹ W rzeczywistości ten czas wynosi pięć miliardów lat; nie wiem czy to pomyłka autora, tłumacza na język angielski, czy też może Satoru miał błędne informacje.

i materię organiczną, a kończąc na życiu samym w sobie. Później powstają gatunki, które ewoluują tak długo, aż rozwiną złożony umysł, pozwalający im na przekształcanie Wszechświata...

– ...Najbardziej fascynujące jest to, w jaki sposób psychologiczne mechanizmy sterujące cantusem prawie całkowicie pokrywają się z tymi, które wykorzystywali szamani w prymitywnych społecznościach. Frazer, antropolog społeczny, podzielił zjawisko magii na dwie kategorie – magię sympatyczną i magię przenośną. Zwłaszcza ta druga jest wyjątkowo...

– Hej, Satoru – przerwałam mu. – Czy my też zapomnimy o Marii i Mamoru?

– Prędzej umrę niż to się stanie – odparł z zawziętym wyrazem twarzy.

– Ale jeśli Rada Edukacji zmieni nasze...

– Nie pozwolę im znowu tego zrobić – powiedział. – Grubo się mylą, jeśli uważają że mogą kontrolować moje myśli i wspomnienia. Jeśli jeszcze raz spróbują nas do czegoś zmusić, po prostu uciekniemy z dystryktu.

– My?

– Pójdiesz ze mną, prawda? – Satoru trochę się zasmucił.

– Jest inny sposób – odparłam, uśmiechając się.

– Jaki?

– *Ja* ucieknę. A ty pójdiesz za mną.

Satoru przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu, ale po chwili odpowiedział uśmiechem. – No tak. To też zadziała.

– Hej, jeśli opuścimy dystrykt, poszukajmy Marii i Mamoru i zamieszkajmy razem z nimi.

– No jasne, w czwórce zawsze jest lepiej niż we dwoje.

– Dokładnie! A kiedy już ich znajdziemy, to... – przerwałam nagle. Nie mogłam już niczego powiedzieć, zupełnie jakby coś uwięzło mi w gardle. Cała zaczęłam się trząść i zalałam się łzami.

Kiedy odzyskałam mowę, mogłam jedynie wydać z siebie żalospny jęk.

Satoru cały czas mnie przytulał gdy płakałam.

Tamtej nocy spaliśmy razem w śnieżnej chatce.

To był mój pierwszy raz z mężczyzną, i był bardziej bolesny niż się spodziewałam. Eksperymentowałyśmy trochę z Marią, ale współzycie kobiety i mężczyzny było czymś zupełnie odmiennym. I sprawiało ból.

– W porządku? Boli cię? – dopytywał się Satoru, przestając na chwilę się poruszać.

– Mmmm... Poczekaj chwilkę. Zaraz się do tego przyzwyczaję – odparłam przez zaciśnięte zęby.

Dlaczego życie jest tak niesprawiedliwe w stosunku do kobiet? – pytałam się w myślach. Musimy przez czterdzieści tygodni znosić niedogodności związane z ciążą tylko po to, żeby podczas porodu doznać cierpienia, jakich nie zniósłby żaden z mężczyzn. Dlaczego więc seks też musi boleć?

– Nie zmuszaj się.

– To nic takiego... Ciebie to nie boli?

– Ani trochę.

Nagle zorientowałam się, że pomimo pełnej świadomości mojego cierpienia, Satoru był zbyt napalony, żeby przestać. Co więcej, daleko mu było do współczucia mi; wręcz przeciwnie – prawdopodobnie jeszcze bardziej go to podniecało. *Co za dupek.*

Ból jednak szybko minął i poczułam, że robię się mokra. Poczucie bycia zmuszaną do czegoś nieprzyjemnego szybko ustąpiło miejsca prawdziwej rozkoszy.

– Przyjemnie ci? – spytał Satoru, słysząc moje jęki.

– Ty idioto.

To pytanie było zbędne. Zamiast odpowiadać, wbiłam mu pożądliwie paznokcie w plecy.

Nie byłam już dziewicą. Od teraz musiałam głowić się nad tym, jak uda mi się przejść przez następne coroczne badania. To kolejna przeszkoda, której musi sprostać kobieta.

Ruchy Satoru stały się bardziej gwałtowne. Pomimo, że mi również było coraz przyjemniej, na moment ogarnęła mnie panika. Gdybym zaszła w ciążę, wszystko naprawdę mocno by się skomplikowało.

Satoru zatrzymał się nagle zanim zdążyłam mu o tym powiedzieć. Pomyślałam, że sam uświadomił sobie ten problem, jednak nie to było prawdziwą przyczyną.

Kiedy na mnie patrzył, na jego twarzy malowała się taka namiętność i rozrzewnienie, że wydawało mi się, że zaraz się rozpłaczę. Nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. On nie patrzył na mnie. W jakiś sposób zdawał się dostrzegać mnie jedynie w cieniu chłopca, którego nigdy nie przestał kochać.

W tej samej chwili poczułam płynącą z głębi serca tęsknotę za tym samym chłopakiem.

Satoru ponownie zaczął się poruszać, tym razem energiczniej. Szybko osiągnęłam orgazm. Kiedy szczytowałam, znajdująca się przed moimi oczami twarz nie należała do Satoru, lecz do innego chłopca.

Każde z nas wykorzystało partnera po to, żeby tak naprawdę kochać się z kimś, kto nie należał już do tego świata. To mogło wydawać się skrajnie dziwne; ktoś mógłby nawet uznać, że zdradziliśmy się wzajemnie, jednak oboje o tym wiedzieliśmy i tego chcieliśmy.

Kiedy już doszłam, Satoru wysunął się ze mnie i wytrysnął na ścianę chatki.

Przez dłuższy moment po prostu leżeliśmy obok siebie, dysząc głęboko.

Nawet podczas tych rozkosznych chwil tuż po seksie, słowa, które wypowiedział w moim śnie chłopiec bez twarzy, nie przestawały zaprzętać moich myśli.

Dlaczego powiedział mi to, co powiedział?

Mówił, żebym nie szukała Marii.

I że ona musiała umrzeć.